

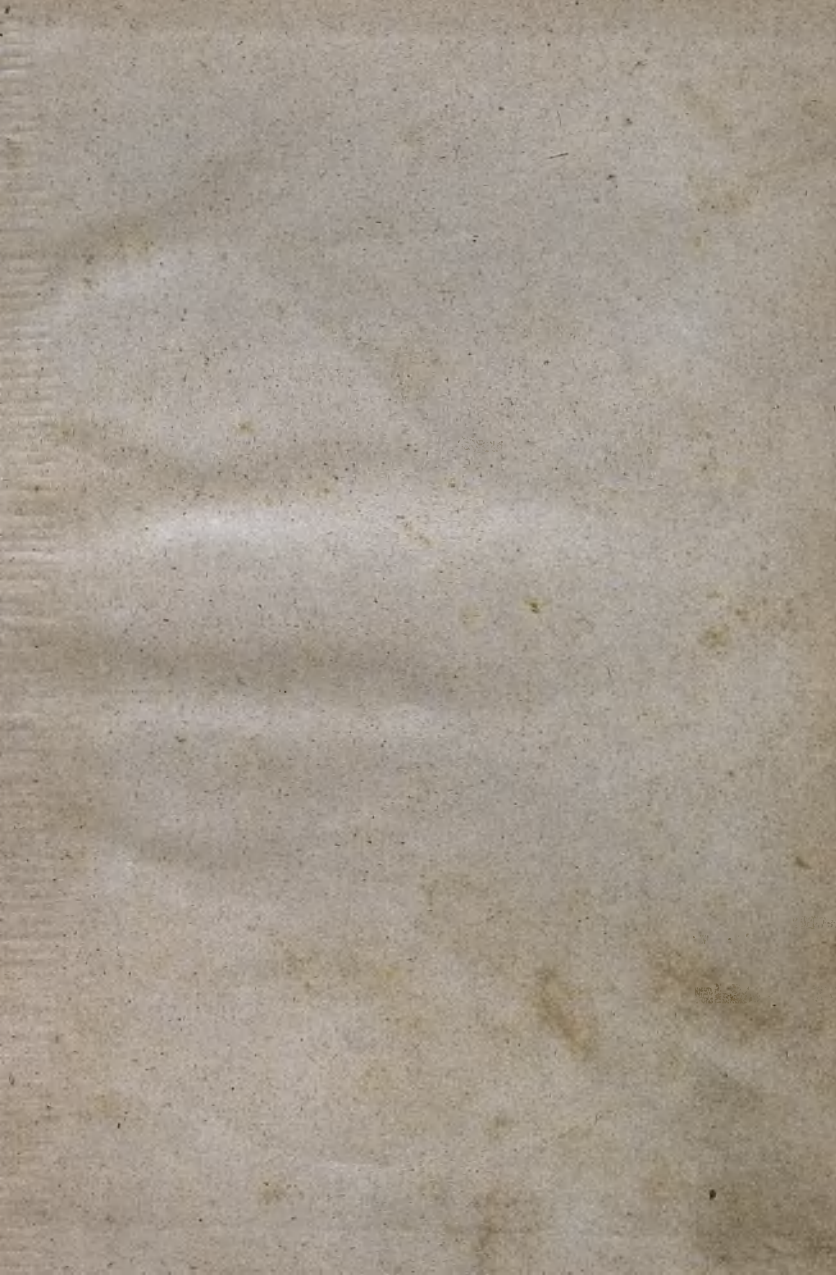
PRZEWROT

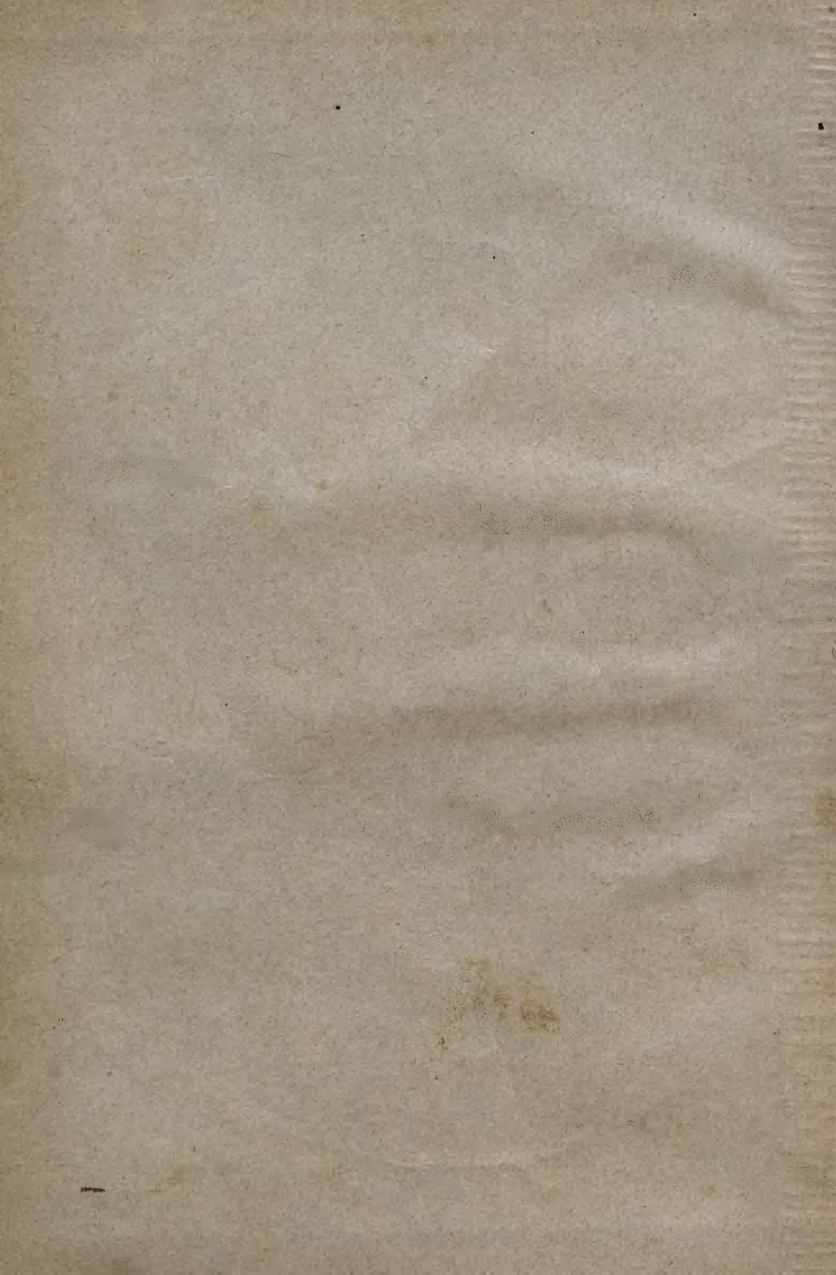


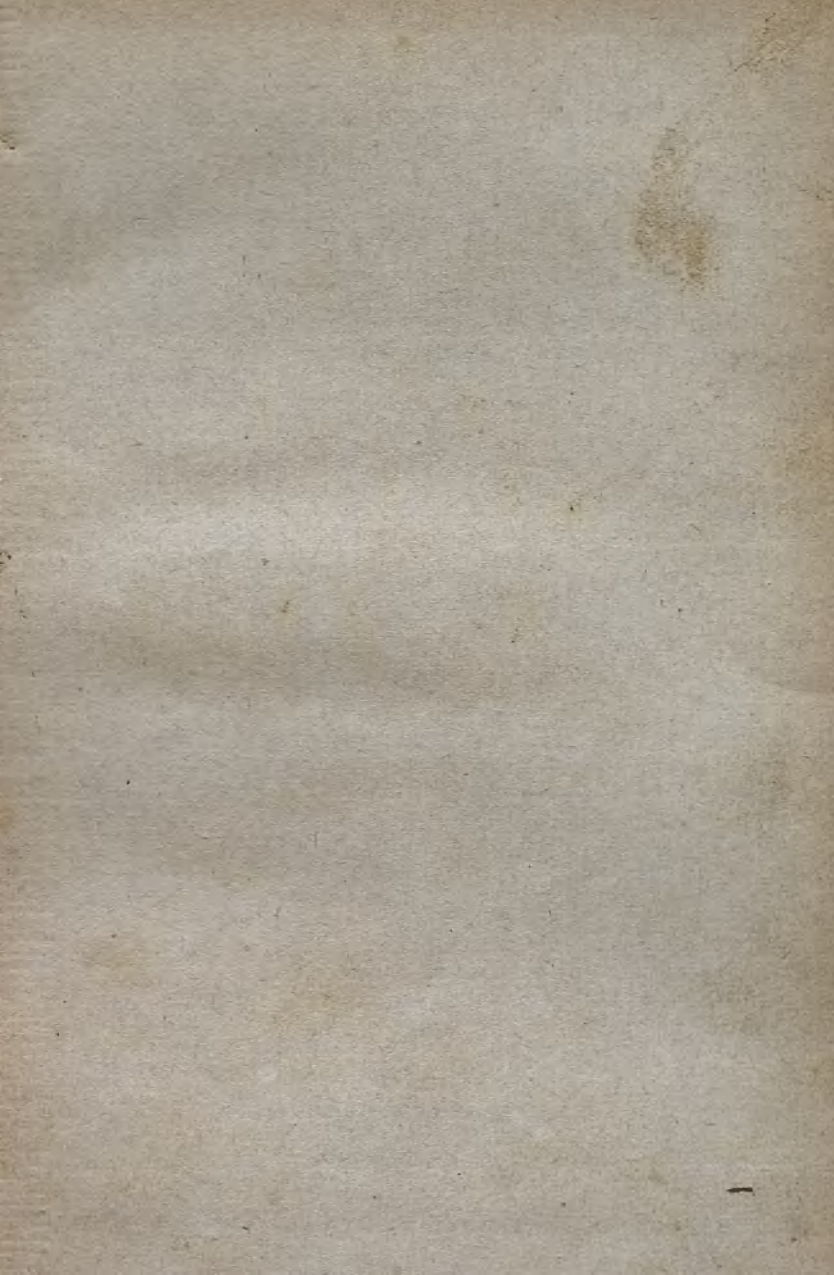
F. REMSEROWSKI

NAPISAŁ LUDWIK SZCZEPAŃSKI

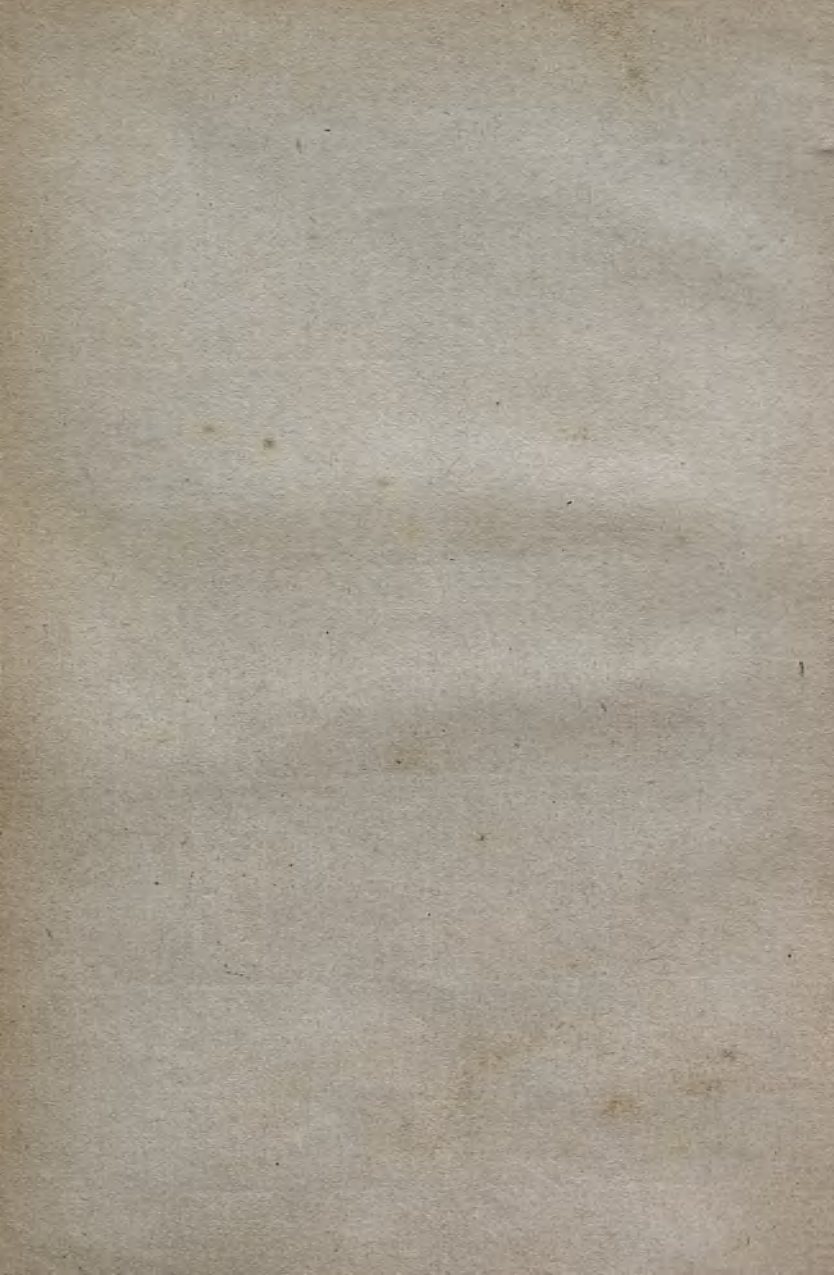
43213/70







PRZEWROT



LUDWIK SZCZEPAŃSKI

PRZEWROT

POWIEŚĆ Z NAJBLIŻSZEJ PRZYSZŁOŚCI

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
1911.

LP I 4 c

319726

I

K-70/13213

9.7.

18,-



Odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

OD AUTORA.

W chwilach groźnych alarmów wojennych, które rozbrzmiewały po dokonanej przez Austro-Węgry aneksyi Bośni i Herzegowiny, a które w Galicyi a przedewszystkiem w Krakowie znalazły wstrząsające echo, autor powziął myśl napisania tej powieści, stanowiącej drugą (ale zupełnie samoistną) część „Króla powietrza“.

Chodziło autorowi o to, aby przedstawić położenie Krakowa, tego starego polskiego grodu, a zarazem potężnej twierdzy austryackiej, która w razie wojny pierwsza wystawiona byłaby na atak nieprzyjaciela. Autor — opierając się na fachowych wskazówkach, przedstawił sposób mobilizacyi, życie ludności w oblężonem mieście i grozę walk oblężniczych, oczywiście dając folgę fantazyi, ale zarazem starając się unikać przejawienia wypadków i trzymając się w granicach możliwości.

Autor wyszedł przytem z założenia, że mocarstwa Rosya i Prusy łącznie zaatakowały Austryę, dążąc do jej podziału. Założenie to wyda się, być może, niejednemu zbyt dowolnem i nieprawdopodobnem, skoro cesarz Wilhelm odgrywa dzisiaj rolę tak wiernego

sojusznika monarchii austro-węgierskiej i skoro trójprzymierze zostało pono znówu na szereg lat przedłużone. Ale również jest faktem, że Prusacy nie przestają sobie ostrzyć zębów na pewne ziemie austriackie — i przypomnieć należy, że przed 44-ru laty Austria z Prusami stoczyła krwawą walkę na polach Sadowy... Dzisiejsze przymierze Prus z Austryą jest sojuszem sztucznym — a zmiana ogólnoeuropejskiej sytuacji, wywołana jakimkolwiek kataklizmem wojennym, może w jednej chwili zmienić obecny stosunek Prus do Austrii.

Pociągnęłoby to za sobą także zupełny przewrót w naszych stosunkach.....



WSTĘP.

Rok 1912 był dla całej Europy rokiem niezwykłych wstrząśnień, które u wszystkich narodów wytworzyły stan dziwnie gorączkowego naprężenia, pełnego przeczuć, obaw i niepokojów.

Od czasu wiekopomnej wojny rosyjsko-japońskiej, która w stosunkach europejskich spowodowała zupełną przemianę wartości, świat już nie zaznał spokoju. Naprzód zgnęła rewolucja rosyjska, następnie sprawy bałkańskie, wreszcie coraz ostrzejszy antagonizm między Anglią a Niemcami — wytworzyły mnóstwo materiału palnego, który lada iskra mogła przywieść do wybuchu.

W miesiącu czerwcu i lipcu sensacyjna, fantastyczna sprawa Silnickiego, któremu powiodło się skonstruować pierwszy, do praktycznych celów służyć mogący aeromobil ¹⁾ i który jako „Król powietrza“ urągał

¹⁾ Sprawa inżyniera Jana Silnickiego, jego zatarg z cesarzem Wilhelmem, ucieczka jego przyjaciela Szymona Kruszka aeromobilem z Berlina i wyprawa tegoż Kruszka w towarzystwie narzeczonej Silnickiego p-ny Młodeckiej na Berlin, aby grozą bomb wymusić uwolnienie nieprawnie więzionego wynalazcy, zniszczenie balonu Parsefala

całej potędze niemieckiej, a wreszcie, uciekwszy się pod opiekę Francji i Anglii, za sprawą milionera amerykańskiego stanął na czele międzynarodowego tow. akcyjnego żeglugi powietrznej (Worlds Aviatric Company) — ta sprawa przyczyniła się walenie do zaostrzenia konfliktu między Niemcami i Anglią.

Ekonomiczna ekspansja Niemiec i ustawiczne zbrojenia pruskie były w Anglii od dawna przedmiotem troski, a buta cesarza Wilhelma, jego przewrotne nieobliczalne postępowanie, jego gadatliwe samochwalstwo i urojenia o niezwalczonej potędze imperium niemieckiego dolewały wciąż oliwy do ognia. Gdy zaś Niemcy — na podstawie wykradzionych planów Silnickiego — przystąpiły do budowy floty aeromobilów (a miały już flotę balonów wojennych) Anglia nie wahała się dłużej, lecz postanowiła zawczasu zgnieść niebezpiecznego przeciwnika.

Stosunki europejskie ułożyły się były od r. 1909 w ten sposób, że jedną grupę mocarstw, związanych przyjacielską *entente*, stanowiły Anglia, Francja, Rosja, Włochy, Turcja i państwa bałkańskie, drugą grupę Niemcy i Austria. Trójprzymierze, przez tyle lat łączące tak nienaturalnym sojuszem Austrię z Włochami i Prusami rozchwiało się. Włochy przystąpiły do koalicji mocarstw zachodnich; i z trójprzymierza zrobiło się dwuprzymierze Austrii i Niemiec.

i pancernika w dokach Kilonii — były przedmiotem powieści „Król Powietrza“. Powieść ta ukazała się w r. 1910 w książkowem wydaniu.

Ale i ten związek, tak szkodliwy dla interesów Austrii i wręcz nienawistny słowiańskiej większości jej ludów istniał już tylko pozornie, a faktycznie między temi państwami zapanował zupełny rozdzwiek.

Austria z najwyższą nieufnością śledziła zaborcze zapędy Prus, mogące ją uwikłać w wojnę europejską i pangermański apetyt na Czechy i Śląsk; Prusy żywiły do Austrii urazę, że przestała im sekundować w pojedynku z Anglią i Francją.

Niemcy — oraz niestety Austria — były zupełnie odosobnione; Niemcy jednak wierne dawnej tradycji umizgały się do Rosyi i świadczyły jej przyjacielskie usługi. Prusy i Rosya lgnęły ku sobie niemal instynktownie, wspólnie ostrząc sobie zęby przeciw Austrii, przyczem Rosya występowała w roli obrońcy Słowian.

Cała Europa podobna była do kotła, w którym ciśnienie pary doszło do maximum.

Jeszcze garść opału, dorzuconego pod kocioł — a eksplozja była nieuchronna. Nie darmo wszystkie państwa zbroiły się coraz usilniej budowały dreadnoughty, ulepszały artylerję.....

W połowie sierpnia — z powod ukonfliktu w Kiauczau a po części z powodu afery Silnickiego bawiącego w Londynie, stosunki między Anglią a Niemcami naprężyły się do tego stopnia, że Anglia odwołała swego ambasadora z Berlina, a w trzy godziny później torpedowce angielskie uderzyły pod Kiauczau na dwa pancerniki niemieckie i zatopiły je.

Wybuchła wojna anglo-niemiecka. Europa zadrgnęła w posadach.

W cztery dni później pod Helgolandem flota angielska w krwawej dziesięciogodzinnej bitwie rozgromiła i zniszczyła flotę niemiecką. Niemcy musiały się wyrzec myśli najazdu na Anglię, potęga ich morską była złamana — pancerniki angielskie blokowały i ostrzeliwały brzegi niemieckie.

W Berlinie groziła rewolucja. Socjaliści niemieccy, ubo zrazu także przejęci szowinizmem pruskim, teraz wobec klęski miotali gromy przeciw Wilhelmowi.

W tej sytuacji władca Prus, nie bardzo zresztą lękający się rewolucyi, bo armia lądowa była zmobilizowana, spokorniał i ku zdumieniu świata prosił o pokój.

W Hadze w tym samym pałacu, w którym obradowały sławetne kongresy pokojowe, nastąpiło podpisanie preliminarzy pokojowych ze strony przedstawicieli Niemiec i Anglii. Cesarz Wilhelm, jak każdy poskromiony gwałtownik, utracił dawną hardość i akceptował upokarzające warunki: odstąpił Anglii Helgoland, Kiauczau i kolonie afrykańskie oraz zgodził się na zaniechanie wszelkich zbrojeń morskich i ograniczenie floty niemieckiej liczbą dwudziestu pancerników.

Natomiast cesarz Wilhelm zażądał od Anglii, aby mu nie przeszkadzała w jego zamiarach na lądzie. Pobite na morzu Prusy chciały się kompensować na lądzie — kosztem Austrii. Mając armię w pogotowiu,

cesarz Wilhelm zamierzał powetować sobie poniesione straty na Austrii, która odmówiła mu w wojnie z Anglią wszelkiej pomocy i „zdradziła Niemcy“ — zamierzał powiększyć terytoryum niemieckie i odzyskać laur stracony...

Dokonać się miał rozbiór Austrii!

Niemcy liczyły przytem na pomoc Rosyi, która liczyć mogła na popularność wojny z Austyą, „ciemniewiczalką bałkańskich Słowian“ i z konieczności do udziału w rozbiórze Austrii dopuszczona być musiała.

Król Jerzy, gdy mu minister spraw zewn. zakomunikował plany Niemiec, rzekł:

— Zachowamy ścisłą neutralność.

Czy ten śladem swego znakomitego ojca Edwarda kroczący władca angielski chciał dopuścić, aby potęgą Prus kosztem Austrii ponownie się skrzepiła? czy też sądził, że Niemcy w tej akcji wojennej wyłamią sobie resztę zębów?

Nikt tego nie odgadnął, ale faktem było, że Anglia i Francya postanowiły zachować neutralność, gdyby Niemcy i Rosya zaatakowały Austryę.

Jeszcze nie zasechł atrament na hagskim akcie pokojowym, gdy Niemcy ściągaly po cichu wojska nad Łabą i Odrą — a p, Tschirsky w misyi arcysekretnej bawił w Petersburgu, nakłaniając Rosyę do wojny i udziału w rozbiórze Austrii.

Dyplomacya austryacka, jak zwykle niedołężna, niczego się nie domyślała i wraz z całym światem

dziwiła się niezmiernie tak szybkiemu zakończeniu wojny anglo-niemieckiej i zawarciu pokoju.

Nagle — gdy z powodu klęsk Prus przyszło do demonstracyi w miastach czeskich przeciw prowokatorskim burszom niemieckim, Prusy bardzo ostro upomniały się w Wiedniu o „prawa uciśnionych braci“.

W Wiedniu zapanowała konsternacya. Na notę pruską odpowiesziano dość słabo, a na to nadeszło z Berlina jeszcze ostrzejsze w tonie polecenie „szanowania praw niemieckich!“ Alarmujące wieści o ruchach wojsk niemieckich i gromadzenie pułków rosyjskich w Kielcach, Modlinie, w Częstochowie oraz na Podolu wywołały w Wiedniu w sferach miarodajnych istną panikę, bo Austria do wojny — i to na dwa fronty — nie była przygotowaną.

Na domiar Bośnia i Hercegowina, Serbia i Gzarnogóra — pod wpływem emisaryuszów rosyjskich — zaczęły się znowu gwałtownie burzyć. I Austria musiała czemprędzej pułki wojska wysyłać na granicę połudn.-wschodnią.

Finis Austriae! Wypadki tak szybko następowały po sobie, że dyplomacya austriacka poprostu tchu złapać nie mogła.

Położenie było rozpaczliwe. Austria, atakowana z trzech stron (a zagrożona także przez Włochy!), pomocy nikąd nie mogła się spodziewać.

A dnia 25 września Prusy, szukając widocznie konfliktu, wysłały trzecią jeszcze ostrzejszą notę do Wiednia w „obronie krzywdzonych Niemców“...

ROZDZIAŁ I.

Joasia płacze, Staś się śmieje.

W domu pp. radcostwa Swierkowskich przy ulicy Zwierzynieckiej w Krakowie zrobiło się „piekło“. Zrobiła je energiczna jak zawsze pani Klementyna Swierkowska, tym razem z powodu syna, ośmnastoletniego Stasia, chłopca sympatycznego, ale zdaniem mamy urwisza, jakich mało. Chłopcu nauka nie bardzo w smak była, zajmował się głównie sportem, a teraz na dobitkę pani Swierkowska znalazła w jego pokoju list, zaczynający się od słów: „Ukochana Helu“...

— Do kogo jest ten list? pytała groźnie energiczna pani Swierkowska, umiejąca trzymać w ryzach męża, syna, córkę Joasię i nieszczęsne sługi.

Chłopiec był bardzo zuchwały i „stawiał się“.

— To jest moja tajemnica, a mama nie ma prawa czytać moich listów!

— A, ty niegodziwy chłopcze! Teraz ci już romanse w głowie, a także na jazdę rowerem masz czas, ale z greki będziesz miał znowu dwójkę, jak w roku przeszłym!

— Nie moja wina, że belfer jest głupi i łapie mnie na słówka. A jak mi mama będzie tak dukała, to jak Boga kocham, wstąpię na ochotnika do wojska! Teraz wszystkich biorą!

Pani Swierkowska zabierała się już do wypalenia urwiszowi siarczystej a długiej repremendy, gdy nagle dzwonek zadzwieczał. Służąca weszła:

— Ta bogata pani, co to była u nas przed kilku dniami, przyjechała...

— Pani Silnicka! zawołała pani Klementyna... Proś ją zaraz do salonu!

Staś tymczasem już pobiegł do przedpokoju, aby przywitać kuzynkę.

Pani Silnicka została przez swoją ciotkę przyjęta z wszelkimi atencjami, jakie się należały osobie tak bogatej, tak sławnej i takie mającej stosunki.

Pani Silnicka przebywała w Krakowie dopiero od niespełna dwu tygodni.

W miesiącu lipcu, po słynnej wyprawie aeromobilu, dokonanej w towarzystwie pana Szymona Kruška w celu oswobodzenia więzionego w Berlinie wynalazcy Jana Silnickiego, udało się pani Silnickiej, wówczas jeszcze pannie Młodeckiej, szczęśliwie powrócić do Paryża, gdzie ją oczekiwała strapiona matka oraz narzeczoną. Po kilku dniach wypoczynku wyjechali wszyscy do Londynu, gdzie nastąpił ślub wynalazcy z dzielną panną. Jan Silnicki w towarzystwie żony miał niezwłocznie wyjechać do Ameryki, aby w Nowym Jorku dla towarzystwa akcyjnego. na

którego czele stał mr. Higinbotham, założyć ogromną fabrykę aeromobilów i elektrycznych akumulatorów. Ale zaostrzenie konfliktu między Anglią a Niemcami i wybuch wojny anglo-niemieckiej powstrzymały wyjazd młodej pary. Przez czas wojny Silnicki z żoną i teściową przebywał w Londynie. Po niespodzianie szybkim zakończeniu wojny, która przyniósłszy klęskę flocie niemieckiej, bardzo korzystnie oddziałała na koniunkturę przemysłowe Anglii, Francji i Ameryki, Silnicki gotował się ponownie z żoną do odjazdu. Matka żony, pani Młodecka, nie miała młodej parze towarzyszyć, lecz zapragnęła powrócić do kraju, do rodziny w Warszawie i wyjechała z Londynu przez Paryż, Szwajcaryę, Wiedeń, Kraków. Niestety, w Krakowie zachorowała, zaziębiwszy się w podróży — i lekarze stwierdzili zapalenie płuc.

W przeddzień odjazdu do N. Jorku p. Silnicka otrzymała z Krakowa telegram, że matka jej chora leży w Grand-hotelu. Nie namyślając się ni chwili, pani Silnicka pożegnała się z mężem, którego interesy nie dozwalały na dłuższą zwłokę, i pospieszyła do Krakowa do łóża chorej matki, obiecując mężowi powrót, skoro tylko w stanie zdrowia matki minie niebezpieczeństwo.

I tak się stało, że pani Silnicka od niespełna dwu tygodni przebywała w Krakowie, gdy tymczasem jej mąż kierował w Nowym Jorku budową olbrzymiej fabryki.

Pani Swierkowska, ciotka pani Anny Silnickiej uściśnęła ją czule.

— Właśnie wybierałyśmy się z Joasią do twej matki. Jakże się czuje dzisiaj?

— Niebezpieczeństwo już minęło, jak zapewnia prof. Pareński, odpowiedziała pani Silnicka. Mama odzyskała już apetyt i za kilka dni będzie mogła zapewne wstać z łóżka.

— Dzięki Bogu! W takim razie musicie się już do nas sprowadzić. Nie będzie wam tu tak wygodnie, jak w hotelu, gdzie zajmujecie cały apartament, ale twojej matce będzie tu chyba przyjemniej...

— Nie, dziękuję cioci, odpowiedziała pani Silnicka, zrobiłybyśmy cioci za wiele ambarasu, a chciałabym, korzystając z ładnej jesiennej pogody, wywieźć matkę w myśl rady lekarzy gdzieś na świeże powietrze na przeciąg dwu tygodni. Myślę o Zakopanem, gdzie jesień jest pono najładniejsza. I chcę się właśnie u cioci poinformować, gdzieby tam mieszkanie wynająć. Chciałabym też zabrać Joasię; myślę, że ciocia pozwoli? Nie ma jej w domu?

— Jest na wykładzie, wróci niebawem. Jeśli ją chcesz zabrać ze sobą na tydzień lub dwa tygodnie, owszem, będę ci wdzięczna; dziewczynie świeże powietrze dobrze robi, zwłaszcza, żeśmy z powodu interesów sami nie mogli nigdzie na lato wyjechać.

— Jedna rzecz tylko nieco mnie niepokoi mówiła dalej pani Silnicka. Oto mąż przysłał mi wczoraj i dzisiaj telegramy, wzywając mnie, abym ze względu

na niebezpieczną sytuację opuściła Kraków i wogóle Austryę, skoro tylko stan zdrowia matki na to pozwoli. Widocznie uważa obecne naprężenie między Austryą a Niemcami za sprawę groźną. Ale przecie nasze dzienniki nie są tak pesymistycznie usposobione! Przeciwnie czytałam dzisiaj rano, że te groźne noty niemieckie są raczej wynikiem zdenerwowania cesarza Wilhelma w skutek doznanej klęski wojennej, niż wyrazem istotnej chęci agresywnej, antiaustriackiej polityki.

— Ja się na polityce nie rozumiem, ale mąż także mi dziś rano mówił, że dzienniki niepotrzebny gwałt czynią.

— Jedno mnie tylko zastanawia, że Jan, który jest bardzo rozważny, a może mieć w Nowym Jorku najlepsze informacye, bo styka się z wszystkimi dygnitarzami, zaleca mi wyjazd z Austrii w sposób bardzo kategoryczny ze względu jak pisze na *most periculous situation*.

Pani Anna wyjęła z torebki telegram w angielskim języku i pokazała go ciotce.

— Ależ to dopiero ogromna depesza, zawołała pani Swierkowska.

— Jan codzień mi taką depeszę przysyła. On wogóle nigdy listów nie pisze, tylko zawsze telegrafuje, bo na listy czasu nie ma.

— Taki telegram z Nowego Jorku kosztuje kilkadziesiąt reńskich! Tylko milionerów stać na taką ko-

respondencyę, mówiła z zazdrością oszczędna pani Swierkowska. Więc cóż donosi twój mąż?

— Przetłómaczę cioci najważniejszy ustęp: „Radzę możliwie prędko opuścić Kraków i wogóle granice Austrii. Sytuacja polityczna bardzo poważna i niebezpieczna. Wyjeżdżaj na Riwierę“. Tę samą radę telegrafował mi już wczoraj, wynika z tego, że tam w Ameryce sądzą, iż zanosi się u nas na nowe polityczne kataklizmy. Co do mnie mam wrażenie, iż to są przesadne obawy.

Do rozmowy wmieszał się Staś:

— E, moje panie, wy jeszcze nie wiecie nic. Ja mam dopiero informacje z pierwszej ręki!

— Od kogo ty masz informacje? zapytała z uśmiechem pani Anna.

— Mam je „ze wszechmiar wiarygodnego źródła“, jak piszą dzienniki. Mianowicie od „prywatynera“ tego oficera Czecha, co mieszka na drugim piętrze. Spotkałem wczoraj na schodach jego forysica z miną bardzo zafrasowaną i pytam go się: Czyś co od lejtnanta oberwał, że masz taką głupią minę? A on odpowiada: „Nie, ino mom zmartwienie bez to, że pudziemy zaroz na wojnę“. — Na jaką wojnę? — pytam. — „Ano z Turkiem, czy z inszym dyablem, gdzieś w Bośni; lajtman mówił, że przyszedł befel, coby sie zaraz do drogi gotować“. — Wićeście się spakowali? „A ino, bo podobno już dziś w nocy pomaszerujemy na kolej“.

Staś opowiadał to z miną i z akcentem krakow-

skiego andrusa, tak imitując żołnierza, krakowskiego Antka, że pani Anna serdecznie się śmiała. Staś nie skończył jeszcze opowiadania, gdy do pokoju weszła dziewiętnastoletnia panna Joasia, siostra Stasia o rok od niego starsza, ładna, trochę afektowana dziewczyna. Wracała z wykładu na kursach Baranieckiego.

— Coś się musiało stać na mieście! — rzekła, witając się z kuzynką, bo na ulicach biegają chłopcy z gazetami i krzyczą coś o wojnie, a ludzie wszędzie gromadami stoją na rogach, czytając gazety.

— Czemuś nie przyniosła nam gazety? — zapytała pani Anna.

Joasia zrobiła zdziwioną minę,

— Przecież nie wypada na ulicy gazety kupować.

Joasia była okropnie dystygowana.

Pani Anna parsknęła śmiechem:

— No, wiesz moja droga, boję się, że jak wojna wybuchnie, to ty z twoją elegancją niedaleko zajdziesz! Niechże ciocia pośle służącą po gazety, abyśmy się dowiedziały, co się właściwie wydarzyło.

— Ja sam skoczę; będzie prędzej, zawołał Staś.

Ale w drzwiach zderzył się z ojcem, który zdyszany, z miną wielce zaaferowaną, spieszył do domu.

— Ach, moi drodzy, straszne rzeczy! — wołał od progu, potrząsając nadzwyczajnym dodatkiem „Czasu“.

— Co się stało? — zawołali wszyscy razem.

Radca Świerkowski opadł na fotel.

— Mobilizacya! wojna! grozi napad na Kraków!!

— Jezus Marya, co takiego?

— Czytajcie!

Cała rodzina rzuciła się na gazetę, rozłożoną na stole:

„Wyjazd ambasadora niemieckiego z Wiednia. Mobilizacya w Rosyi. Ambasador rosyjski gotuje się do odjazdu. Wojska rosyjskie zbierają się nad granicą galicyjską. Antiaustryackie demonstracye w Libercu, w Litomierzycach i w Chebie. Niepokoje na południu. Kraków zagrożony“. Takie tytuły czerniały tłustym drukiem na karcie dziennika, budząc dreszcz trwogi w czytających.

Istotnie telefoniczne doniesienia z Wiednia stanowiące treść dziennika, brzmiały w najwyższym stopniu niepokojąco. Ambasador niemiecki, wręczwszy ultimatum rządowi austro-węgierskiemu, zawierające żądanie podziału Czech na część niemiecką i czeską, oraz uszanowanie praw niemieckich w całym państwie austriackiem, wyjechał z Wiednia. — Równało się to wypowiedzeniu wojny — i jak słyhać, korpusy niemieckie maszerowały już ku granicy Czech i Ślązka.

Równocześnie donoszono o groźnych pangermańskich demonstracyach w miastach na północno-zachodniej granicy Czech. Groza położenia okazałaby się jednak dopiero wtedy we właściwem świetle, gdyby się sprawdziła wiadomość, iż Prusy z Rosyą zawarły

sojusz zaczepno-odporny i porozumiały się co do zamierzonego rozbioru Austrii. Galicya miała w myśl tego sojuszu zostać przyłączona do Królestwa Polskiego, Bośnia i Herzegowina przypaść miały Serbii i Czarnogórze. — Ludność tych anektowanych krajów, burząca się od dawna, na wieść o zatargu Austrii z Niemcami i Rosyą, groziła powstaniem; w Serbii zarządzono już mobilizację. Rosyjski ambasador w Wiedniu, od którego Austria zażądała wyjaśnień, przygotowywał się także do odjazdu, a pewnem było, że Rosya pod Częstochową, Modlinem i na Podolu ściągała korpusy wojska, a trzy pułki kozackie i artylerya waliły już ku granicy galicyjskiej. Szczęściem w tem nieszczęściu było, że przynajmniej Włochy nie objawiały agresywnych zamiarów; zresztą fortyfikacje w południowym Tyrolu niewątpliwie powstrzymałyby w zapędzie atakującą armię włoską. W Wiedniu panowała panika. Sztab generalny austriacki posiadał oczywiście oddawna wypracowane plany mobilizacyi i walki równocześnie na dwa, a nawet trzy fronty: z Rosyą, z Włochami i państwami bałkańskimi, ale nie spodziewano się skombinowanego napadu ze strony Prus i Rosyi, więc teraz chaos i przeobrażenie zapanowały w Wiedniu.

Takie wieści rodzina pp. Swierkowskich z gorączkowym pośpiechem wyczytała z nadzwyczajnego wydania dziennika.

— Jezus Marya! Co teraz będzie z nami! Takie nieszczęście, taka klęska! Chyba nam teraz przyjdzie

uciekać z Krakowa? ale jakże zostawić tak dom i interesy na łasce Boskiej? Ale trudno! Mój Walciu, podnieś pieniądze z Banku i wyjeżdżajmy z Krakowa!

— Jutro pieniądze z banku podnieść, to będzie nielada sztuką — odpowiedział smętnym tonem pan radca Walenty Swierkowski. — Jutro nastąpi niechybnie run na wszystkie kasy i nie będzie się można wcale o pieniądze doprosić. Zresztą ja nie będę mógł wyjechać, a Staś także nie.

— Jakto, dlaczego?

— Bo już dziś w nocy zostanie ogłoszona ogólna mobilizacya. Mówilem u Hawelki z majorem Kogelmanem, z którym staliśmy przy bufecie, gdy przyniesiono nadzwyczajne wydania dzienników. Otóż major mówił mi, że już od trzech dni komenda czyni wszystkie przygotowania, aby na dany znak mobilizacyę jak najprędzej przeprowadzić.

— Ale tatuś przecież nie może być wzięty do wojska! zawołała Joasia. Tatuś przecież za stary już do tego?

— I ma za wielki brzusek! dorzucił Staś.

— Moje dzieci, ja mam dopiero pięćdziesiąt lat, a w pospolitem ruszeniu mogę pełnić służbę do sześćdziesiątego roku. Dostałem nawet przed laty nominacyę na oficera landszturmu. Będę musiał stawić się do szeregu...

— Ale na plac boju ciebie chyba wysłać nie mogą? Ty masz takie słabe zdrowie, ciągle jesteś zakatarzony...

— Mogę, nie mogę, odpowiedział radca. W takim niebezpieczeństwie i pospolite ruszenie może pełnić służbę bojową poza krajem. Sądzę jednak, że pozostaniemy w Krakowie, aby bronić twierdzy w razie oblężenia.

— To ja zostanę także w Krakowie, rzekła pani Świerkowska. Ale ciebie, moja droga Anno, rzekła, zwracając się do pani Silnickiej, proszę, abyś zabrała ze sobą Joasię i Stasia, bo przecież musisz matkę czempredzej z Krakowa wywieźć.

— Oho! Ja nie pojadę, zawołał Staś. Ja wstąpię na ochotnika do wojska, aby bić Prusaków.

— Nie pozwolę na to! — zawołała pani Świerkowska. — Myśl o tem, żebyś skończył szkoły i wybij sobie głupstwa z głowy.

— Niestety, zdaje się, że i Staś będzie powołany do służby wojskowej w pospolitem ruszeniu — rzekł radca Świerkowski. — Staś ma 18 lat, jest silny i zdrow i należeć będzie do drugiego powołania landszturmu, z którego co cięższych ludzi wezmą do służby w linii...

Jezus Marya! — zawołała pani radczyni. — I chłopca mi wezmą! Świat się kończy! Co za nieszczęście! I wybuchnęła płaczem.

Joasia wtórowała matce.

— Niechże ciocia się uspokoi — rzekła pani Silnicka. — Wszak jeszcze nie wiemy, czy niebezpieczeństwo w istocie zagraża Krakowowi. Jest to prze-

cie jak słyszałam, jedna z najsilniejszych nowożytnych twierdz. Prawda wuju?

— A tak, tak. I nie ma zgola mowy o tem, aby Rossyanie mogli Kraków zdobyć. Na to, panie dobrodzieju potrzebaby armii co najmniej dwustu a może i trzystu tysięcy ludzi — i miesięcy czasu.

— A czy w ogóle oblężenie jest prawdopodobne?

— Major Kogelman powiada, że w tej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, musimy lękać się oblężenia.

Nastała chwila ciszy, przerywana żałościem chlipaniem pani i panny Świerkowskich. Staś uśmiechał się do kuzynki i wzruszał ramionami.

Nagle z ulicy — kamienica państwa Świerkowskich stała przy Grodzkiej ulicy — dał się słyszeć głuchy, miarowy tupot.

Wszyscy rzucili się do okien

Całą Grodzką ulicę zajmował nieprzejrany sznur kawalerii. Staś, który znał się na mundurach, zawołał:

— To żółci dragoni z Kobierzyna. Ciekawym, wiele też idzie szwadronów i gdzie idą?

Dochodziła już godzina piąta; dzień (25 września) był bardzo ciepły i pogodny. Ulica, jak daleko okiem sięgnąć było można, wypełniona była dragonami w pełnym rynsztunku, jadących stępą czwórkami. Naprzód ciągnęły trzy szwadrony jazdy, z kolei jechała bateria ośmiu dział polnych, potem szły trzy kompanie strzelców przyspieszonym krokiem, wreszcie widniały znowu szwadrony kawalerii...

— I działa maszynowe mają ze sobą! O, jadą

także reflektory z akumulatorami! Widocznie wyruszają gdzieś na noc ku granicy. I wozy sanitarne także jadą... Pójdę za nimi, aby zobaczyć, w którą stronę ciągną, czy ku mogińskiej, czy ku warszawskiej rogatece?

I Staś wybiegł z pokoju.

Pani Swierkowska otarła łzy.

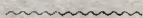
— Jeżeli grozi wojna i oblężenie, to trzeba pomyśleć naprzód o tem, abyśmy co jeść mieli. Walciu, dajno pieniędzy, ile tylko masz przy sobie. Pójdę czempredzej zakupić kilka worków mąki, kaszy, poć słoniny, kilka głów cukru, i kawy, wędlin, konserw... Jutro tego wszystkiego może już nie można będzie się dokupić! Joasiu, zawołaj sługi i stróża, niech biorą koszyki i idą ze mną.

Za chwilę kucharka Katarzyna i pokojówka Marysia, wystraszone i ogłupiałe — i stróż Jan, który na wieść o grożącej wojnie z frasunku wielkiego zalał już sobie porządnie pałkę — służące z koszykami, Jan z koszem plecnym — czekali na panią domu.

— Mam powóz na dole, mogłabym ciocię podwieźć i pomódz w sprawunkach, zanim powrócę do matki — rzekła żegnając się pani Silnicka.

— Dziękuję ci, moja droga. Ale jakże tu jechać, kiedy tyle wojska wali się ulicą. Zresztą pójdę do pobliskich sklepów...

Pan Swierkowski również nie pozostał w mieszkaniu, lecz pospieszył na miasto, gdzie się coś dziwnego dziać zaczynało.



Mobilizacya!

Zanim jeszcze dzienniki zdążyły przynieść wstrząsającą wiadomość o dokonaniem zerwania stosunków dyplomatycznych między Niemcami a Austryą i oczekiwaniem zerwania z Rosyą, władze wojskowe i starostwo otrzymały już telegraficzny rozkaz najwyższego wodza, zarządzający powszechną mobilizacyę.

Magistrat krakowski, jako władza polityczna, miał obowiązek ów rozkaz natychmiast ogłosić ludności. Prezydent miasta dr. Leo wraz z dyrektorem magistratu otwarli więc szafę, w której złożone były zapieczętowane stosy druków, przygotowanych na taki wypadek, i wydobyli manifest cesarski do ludów Austrii, powołujący rezerwy, rozkaz powołujący obronę krajową, oraz rozkaz zwołujący pospolite ruszenie.

Już o godzinie 4 po południu na rogach ulic widniały rozlepione plakaty, koło których cisnęły się wzburzone i przerażone tłumy. W przeciwieństwie do zwykłego trybu wypadków, kiedy naprzód zarządzane bywa powołanie rezerw i obrony krajowej, a później dopiero pospolite ruszenie, tym razem mobilizacya spadła jak grom i zaskoczyła tak ludność, jak sama

Austria zaskoczona była nagłym, zdradzieckim zerwaniem stosunków.

Stanisław Swierkowski stał w tłumie i czytał manifest „Do moich ludów“, nakazujący, aby każdy rezerwista w przeciągu 24 godzin udał się na miejsce swego przeznaczenia; czytał rozkaz, powołujący obronę krajową, wreszcie rozkaz, mobilizujący oba powołania pospolitego ruszenia.

Ulica dudniła od tupotu kopyt przeciągającej kawalerii i turkotu artylerii konnej; na twarzach żołnierzy malował się wyraz jakiejś powagi i groźnej zawziętości... Przed sklepami żydówki głośno lamentowały; jedna w ataku histerycznego płaczu, który słyhać było daleko, miotła się konwulsyjnie i powstrzymywała młodego izraelitę od wyjścia na ulicę. Staś, słysząc ten płacz i to dzikie zawodzenie, wtórujące tupotowi pochodu kawalerii, doznał przykrego wstrząśnienia, uczuł, jak go od głowy do stóp przenika zimny dreszcz; zmiarkował, że wojna jest przecie straszną rzeczą.

Najwięcej ludzi cisnęło się przed plakatem, obwieszczającym mobilizację pospolitego ruszenia. Mało kto wiedział, jak się ta sprawa odbędzie, Staś przysłuchiwał się, jak jakiś woźny sądowy, widocznie wysłużony żołnierz, tłumaczył rzecz grupie słuchaczy:

— Pospolite ruszenie dzieli się na dwa powołania. Do pierwszego powołania należą ci, co już swoje 12 lat odsłużyli we wojsku lub w obronie krajowej; należą zaś aż do 37 roku życia.

— Ja mam trzydzieści sześć lat, rzekł jeden ze słuchaczy, więc będę należał do pierwszego powołania?

— A niby tak. Dostaniesz pan mundur, ten stary mundur landwery, karabin Werndla — a może teraz będą dawali manlichery? — i pójdiesz pan odrazu na plac boju jako rezerwa. Teraz będą wszystkich zdolniejszych brali do służby w polu!

— A ja mam 41 lat, rzekł drugi słuchacz, marsarz w białym fartuchu.

— To pan należy do drugiego powołania pospolitaków. Tu należy każdy wysłużony wojskowy aż do 42 roku życia, a oficer do 60-tego roku, oraz chłopaki w wieku od 18 do 21 lat.

— To ja! pomyślał Staś.

— Ci starsi pospolitacy bić się nie będą, będą użyci do różnych robót. Ale chłopaków wezmą zaraz do abrychterunku, niby do wyćwiczenia, a jak się już karabinem trochę robić nauczą, pójdą zaraz do linii. Teraz nie pominą żadnego!

Staś Swierkowski szedł dalej wślad za szwadronami żółtych dragonów, którzy jechali przez Rynek i ulicę Floryańską i skierowali się w ulicę Lubicz.

Przed gmachem starostwa Staś spotkał kolegę. Drobniego wzrostu, nalanej chorowitej cery, Jan Kukucz, zwany przez kolegów „Bułą“, był rozgorączkowany, oczy mu błyszczały febrycznie.

— Koniec szkoły! belfry pójdą na wojnę — i my też!

— No, ciebie, Buło, nie wezmą, tybys tornistra nie udźwignął.

— To pójde na ochotnika prac Rossyan i Prusaków. Zresztą wezmą, nie wezmą, stawić się musimy. Z naszej klasy pewno połowa będzie dźwigała karabin, bo chłopaki mają po 18 lat. Jutro już stawić się musimy jako pospolitacy do asenterunku. Moja matka płacze od dwu godzin, odkąd się dowiedziała o tem.

— A gdzie się stawić mamy?

— Tam gdzie wszyscy pospolitacy. Nie czytałeś to plakatów? Punkty zborne dla pospolitaków w Krakowie wyznaczono na dziedzińcu magistratu, na placu Jabłonowskich i na placu Wolnica. Tam będą nas asenterować i segregować jednych pod broń, drugich do robót, a słabych i niezdatnych odeślą do domu.

— Ty Buła nie masz wiele szans, żeby cię zatrzymali. Twoja matka niepotrzebnie płacze.

— Zobaczmy, rzekł Buła, prostując swą wątłą figurę.

Chłopcy przechodzili właśnie przed gmachem starostwa. Stał tam oddziałek III. pułku dragonów z Rakowic, z czerwonymi wyłogami.

— Co oni tu robią?

— Nie wiem. Spytajmy się policyanta, może ten będzie wiedział, na co ci dragoni czekają.

Kapral policyjny, do którego się zwrócili, wyjaśnił, że dragoni zawiozą wójtom okolicznych gmin rozkaz o mobilizacyi. W każdej gminie wójt musi natychmiast po ogłoszeniu mobilizacyi zwołać pospolitaków i wraz

z żandarmeryą dopilnować, aby w 24 godzinach stawili się w większych punktach zbornych, gdzie ich rozsegreguje komisya mieszana. A ci, co służyli w wojsku a nie mają jeszcze lat 37, ci na posterunku żandarmeryi otrzymają odrazu mundury landwerowe, szare czapki i karabiny Werndla i pójda zaraz do służby w linii.

Chłopcy po chwili poszli dalej.

Z dworca kolei maszerowały ku miastu kompanie piechoty.

— Oho, to już nie nasze wojsko. To węgierska piechota przyjechała! Chodźmy na dworzec, zobaczyć co się tam dzieje.

Ale chłopcy nie zaszli daleko. Posterunek wojskowy, stojący na rogu Basztowej i Lubicz cofnął ich. Ten sam los spotkał mnóstwo pasażerów spieszących na kolej, którzy widocznie pragnęli opuścić niebezpieczne terytoryum Krakowa.

Dworzec już był pod zarządem wojskowości, a posterunki wojskowe obsadziły wszystkie bramy, budynki stacyjne i magazyny.

Więc chłopcy poszli dalej przez ulicę Lubicz ku Mogiłskiej rogalce. Doszli jednak tylko do rogatki; i tam posterunek piechoty zagroził im dalszą drogę.

Powóz, którym jakiś właściciel dóbr z żoną i dziećmi jechał od Mogiły, po dłuższem parlamentowaniu z oficerem został wpuszczony do miasta.

— Kozacy stoją nad granicą! Chłopi z Kocmyrzowa, Raciborowic, Łuczanowic, Branic, Bieńczyc,

Kościelnik, Ruszczy, Pleszowa w panice uciekają już ku miastu!

Oto, co chłopcy usłyszeli z rozmowy obywatela z oficerem.

— Niech tylko kozacy się pokażą, nasze forty w Mogile, Lasówce, Krzesławicach przywitają ich należycie. A nasi dragoni z III i XII pułku i baterie konnej artylerii oraz strzelcy poszły już wszystkimi gościńcami ku granicy, nie tylko na wschód ku Kocmyrzowi i ku Mogile, ale też na północ i zachód — i z pewnością zgotują kozakom gorące przyjęcie...

— Kozacy!

Obaj chłopcy spojrzeli po sobie, wydawało im się to nieprawdopodobnem, aby kozacy tak nagle mogli się zjawić w odległości półtorej mili pod Krakowem.

Rozgorączkowani wracali czempredzej do miasta, aby tą wiadomością podzielić się z drugimi.

Wieczór zapadał. Słońce zachodziło, malując niebo dziwnie jaskrawą czerwienią i złotem.

W mieście panował ruch nadzwyczajny. Wszyscy spieszyli na ulicę, aby zasięgnąć informacji o rozgrywających się wypadkach.

Na rynku koło odwachu słychać było warkot bębna. Na czele oddziału piechoty jeden z oficerów odczytywał proklamację komendanta twierdzy krakowskiej feldmarszałka Wojciecha von Benda ogłaszającą stan oblężenia w całym rejonie twierdzy. Z tą chwilą cała władza administracyjna i karno-są-

dowa przechodziła w ręce dowódcy twierdzy. Obowiązywało prawo wojenne; każde przestępstwo karane było przez wojskowe sądy doraźne; za każdy bunt i opór władzy groziła kara śmierci. Zarazem zabroniono mieszkańcom opuszczać domy bez ważnej przyczyny po godzinie ósmej wieczorem, a wszyscy wychodzący w nocy byli obowiązani nosić latarnie. Wszystkie szynki, handle i wogóle lokale publiczne, z wyjątkiem kilku restauracyi, miały być o godzinie ósmej wieczorem zamykane.

Dzienniki zostały poddane ścisłej cenzurze.

Komendant twierdzy osobnemi plakatami wskazywał na to, że Krakowowi grozi oblężenie i wzywał mieszkańców, niezdatnych do pełnienia powinności wojskowych, a szczególnie kobiety i dzieci, aby twierdzę czempredzej opuścili. Szczególniej wskazany byłby wyjazd mieszkańców uboższych, którzy nie potrafią zaopatrzyć się w odpowiednią ilość środków spożywczych. Ci, co chcieliby Kraków opuścić, winni zgłaszać się do komendy, która wyjeżdżającym wyda przepustki. Komendant zapewniał jednak, że niema żadnego powodu do paniki, że drogi na wschód i zachód, a szczególnie na południe od Krakowa są wolne i nieprzyjaciel nierychło zdoła komunikację przerwać.

Staś Swierkowski wracał rozgorączkowany do domu, żegnając kolegę słowami:

— Do widzenia, do jutra przy asenterunku w magistracie!

Pani Anna Silnicka siedziała tymczasem w hotelu bardzo przygnębiona obok łóżka matki. Pani Młodecka, u której choroba spotęgowała nerwowość, przełękała się okropnie wieścią o wybuchu wojny i chciała natychmiast wyjeżdżać z zagrożonego Krakowa, lamentując nad losem swoim i córki, któraby była stracona, gdyby wpadła w ręce Prusaków. Nadaremnie pani Anna przedstawiała jej, że Kraków jest potężną twierdzą, która oprze się wszelkim atakom i na której samo osaczenie nieprzyjaciół potrzebował będzie kilka tygodni czasu. Pani Młodecka uparła się wyjeżdżać jak najspieszniej. Wreszcie stanęło na tem, że skoro tylko doktor pozwoli, obie panie wyjadą z Krakowa koleją do Zakopanego, potem dalej na Węgry, a gdyby wyjazd koleją napotykał na trudności, to pojadą powozem.

Około godziny 9-tej przybył lekarz do pani Młodeckiej i przyniósł wiadomość, że od wschodu widać na niebie wielką łunę. O milę lub dwie za Krakowem wybuchł wielki pożar. Strażnik na wieży Maryackiej, którego zapytywano telefonicznie, twierdził, że pali się Pleszów, a może nawet Mogiła. Ci, co poszli ku rogate Mogiłskiej, twierdzili, że słyszeli głuchy huk dział, dochodzący z daleka, co jednak innym wydało się złudzeniem.

Lekarz stwierdził pomyślny obrót choroby i orzekł, że pani Młodecka za trzy dni będzie mogła wstać z łóżka, a za tydzień wyjechać z Krakowa.

W przeddzień oblężenia.

O świcie kilka wozów ambulansowych z rannymi żołnierzami wjechało do miasta, kierując się ku szpitalowi. Od konwojujących zmęczonych żołnierzy dowiedziano się, że koło Karniowa wpadli kozacy z artylerią i jęgrami, zdemolowali austriacki urząd cłowy w Kocmyrzowie, uszkodzili petardami kawał toru kolei lokalnej, spalili dworzec i szli trzema oddziałami ku Branicom i Pleszowowi. Ujrzawszy dragonów cofnęli się, pozostając jednak na terytorium austriackiem. Artyleria i piechota austriacka, ciągnąca dwoma gościńcami, gościńcem mogiłskim i gościńcem kocmyrzowskim, z dwu stron zaatakowała kozaków, a dragoni próbowali ich oskrzydlić. Pod wieczór i w nocy wywiązała się silna strzelanina; od szrapneli rosyjskich wszczął się w Pleszowie pożar, który dwór i całą prawie wieś obrócił w perzynę. Nad ranem kozacy cofnęli się — ale wielkie siły rosyjskiej kawalerii i artylerii gromadziły się od wschodu i zachodu i nad ranem należało się spodziewać dalszych starć.

To też prawie całą noc piechota i artyleria, nad-

jeżdżająca do Krakowa z Węgier, ciągnęła wszystkimi drogami ku granicy.

W domu państwa Swierkowskich noc przeszła spokojnie. Pani Swierkowska miała spiżarnię zapełnioną prowiantami i oświadczyła, że dwa miesiące oblężenia spokojnie przetrzymać może, byle tylko nie brakło świeżego mięsa, mleka i masła.

Rano wszyscy już o 6-tej wstali. Pan Swierkowski, który jako oficer pospolitego ruszenia przeznaczony był do służby na dworcu kolei, wyciągnął z szafy czapkę oficerską, wdział czarny surdut, przypasał starą szablę do boku — i był gotów do wyjścia. Wyglądał dość komicznie, ale małżonka i służące patrzyły nań z podziwem.

— Ojciec nie będzie nosił munduru? pytał zdziwiony Staś.

— Nie, odpowiedział radca. Oficerzy z drugiego powołania landszturmu nie noszą mundurów, lecz mają tylko czapki oficerskie i rozetę na klapie surduta jako odznakę swej szarży. Munduru im nie potrzeba, bo nie pełnią służby w linii.

Radca po śniadaniu pośpieszył na dworzec, następnie stamtąd podążył na posiedzenie Rady miejskiej Wielkiego Krakowa, zwołanej przez prezydenta Leo już na godzinę 9-tą zrana. W posiedzeniu mieli wziąć udział także delegaci Podgórza, aby wspólnie naradzić się nad zarządzeniami, koniecznymi w celu zaprowiantowania obu miast i zapobieżenia drożyznie środków żywności.

Nigdy jeszcze Rada miejska nie zebrała się tak punktualnie, jak w ten dzień złowróżbny. Posiedzenie było zwołane na godzinę 9-tą z rana, ale już o godzinie wpół do 9-tej poczęli się radni zbierać, czując potrzebę wspólnego omówienia ciężkiej sytuacji, w jakiej się miasto znalazło i zasięgnięcia wiarygodnych informacji o przypuszczalnym przebiegu operacji wojсковych. Dzienniki poranne przedstawiały położenie Austrii w bardzo czarnym świetle. Jeszcze więcej od radców krakowskich zaniepokojeni byli radcy gmin podmiejskich, które, jako położone w pobliżu fortów, w pierwszym rzędzie mogły uciepieć skutkiem oblężenia.

Punktualnie o godzinie dziewiątej wszedł na salę prezydent Leo, blady po prawie zupełnie nieprzespanej nocy, którą spędził na konferencyach z władzami wojskowymi i z szefami departamentów magistratu. Towarzyszył mu burmistrz Podgórze p. Maryewski. Prezydent Leo, zaprosiwszy burmistrza Podgórze, aby zasiadł koło niego, spokojnym, jak zawsze głosem zagaił posiedzenie, witając przybyłych reprezentantów Podgórze, których wspólna niedola i wspólne niebezpieczeństwo sprowadziło na ratusz krakowski.

— W pierwszym rzędzie, — mówił prezydent — uważałem za potrzebne zasięgnąć informacji u komendy twierdzy, czy istotnie Krakowowi grozi oblężenie, i jaki przypuszczalnie będzie jego przebieg. Od odpowiedzi na to pytanie zależeć będą przygo-

towania, jakie zarząd miasta wespół z władzami wojskowemi zarządzić musi w celu umożliwienia bytu ludności Wielkiego Krakowa, Podgórza, i gmin leżących w obrębie fortów na prawym i lewym brzegu Wisły. W komendzie twierdzy oświadczono mi, że faktycznie miasto Kraków przygotować się musi na dłuższe oblężenie ze strony armii rosyjskiej. Plan wojenny połączonych mocarstw Niemiec i Rosyi jest bowiem, zdaniem strategików austriackich, następujący: Jedna wielka armia pruska wkroczy doliną Łaby do Czech, kierując się na Pragę i ewentualnie na Wiedeń. Druga zaś armia pruska gotuje się do wtargnięcia na Śląsk i przez Morawę pociągnie ku Wiedniowi. Aby tej drugiej armii pruskiej zapewnić bezpieczeństwo od flanku, silna armia rosyjska zaatakuje niezwłocznie Kraków i przystąpi do oblężenia twierdzy. Równocześnie druga armia rosyjska zbiera się w okolicach Zamościa i Lublina, aby zaatakować Przemyśl i opanować wschodnią Galicyę. Zważywszy nadto, że w Bośni grozi powstanie i Serbia z Czarnogórą, wetując doznane w 1909 roku upokorzenie, także uderzy na Austryę, pojmiemy, w jak groźnem położeniu Austrya się znajduje.

Wojska austriacko-węgierskie zmuszone są do walczenia na trzech frontach z przeważnemi siłami nieprzyjaciela. Przeciw dwom armiom pruskim Austrya, jak panowie zresztą wiecie z dzienników, wystawi również dwie armie. Jedna armia, zwaną armią północną, złożona z korpusów II., VIII.,

IX. i dywizyi ołomunieckiej, gromadzi się pod Pragę; druga armia, złożona z korpusów III. (Graz), IV. (Budapeszt), V. (Preszburg), VI. (Koszyce) i VII. (Temeswar) zbiera się, aby odeprzeć Prusaków, ciągnących przez Śląsk i niedopuszczyć ich do połączenia się z pruską armią wschodnią, idącą doliną Łaby. Korpus XIV. strzeże granicy włoskiej. — W Bośni zaś trzecia armia austriacka, złożona z korpusów XII., XIII. i XV. stawia czoło Serbom. — Wreszcie przeciw całej potędze rosyjskiej może Austria na terenie galicyjskim wystawić jeszcze tylko korpusy I., X. i XI. Tą czwartą galicyjską armią dowodzi zbrojmistrz Steinsberg. Armia ta koncentruje się pod Jarosławiem w trójkącie twierdz Przemyśl-Jarosław-Lwów i będzie musiała stoczyć bój z ogromną armią rosyjską, zbierającą się pod Lublinem i Zamościem. Całe szczęście nasze, że Rosya mobilizacyi szybko przeprowadzić nie potrafi i że, nim ta druga armia rosyjska zdoła całą masą przekroczyć granicę wschodniej Galicyi, nasza wschodnia armia pod wodzą zbrojmistrza Steinsberga, który dziś w nocy z Krakowa wyruszył, obronną zajmie pozycyę i zapewne Rosyan do Lwowa nie dopuści. Widzicie jednak z tego panowie, że Kraków pozostawiony będzie swemu losowi, że otrzyma załogę względnie słabą, ponieważ wszystkie galicyjskie wojska liniowe koncentrują się pod Jarosławiem i Przemyślem i że na odsiecz z żadnej strony liczyć nie możemy. Ufamy w waleczność naszych armii i nie wątpimy, że mimo znacznej przewagi sił nieprzyja-

cielskich Austrya przecie odeprze atak i odniesie zwycięstwo, ale niestety cała Galicya będzie teatrem wojny i musimy się przygotować na kilkumiesięczne, conajmniej trzymiesięczne oblężenie. Potężna twierdza, możemy tego być pewni, zwycięsko oprze się atakom, ale mimo to dla ludności nadchodzą czasy ciężkiej próby.

— Niezłomna obrona naszych twierdz Krakowa i Przemyśla i śmiała akcja naszej galicyjskiej armii mają wielce doniosłe strategiczne znaczenie, bo Rosya trzymana w szachu przez Galicyę żadną miarą nie będzie mogła sił swoich przerzucić na teren morawski, na pomoc operującej tam armii pruskiej.

— Takich wyjaśnień udzielono mi w komendzie i uważałem za swój obowiązek podać je panom do wiadomości, albowiem musimy działać z całą świadomością tego, co nas czeka. Jeżeli naszej armii, koncentrującej się pod Jarosławiem, nie uda się odrazu zadać decydującej klęski armii rosyjskiej i położyć kres kampanii, co wobec przewagi sił rosyjskich i możliwości wystawienia po klęsce nowej armii, wydaje się nieprawdopodobnem, armia galicyjska będzie musiała ograniczyć się raczej do defenzywy, aby przedewszystkiem nie dopuścić do zalania całej Galicyi przez wojska rosyjskie i zajęcia Lwowa. W każdym razie Kraków, stanowiący główną zaporę dzielącą armię rosyjską od pruskiej i będący dla Rosyan kluczem, otwierającym im Galicyę, narażony będzie na najsilniejsze oblężenie.

Rada słuchała tych wywodów w ponurem milczeniu.

— Pozostaje nam teraz — ciągnął dalej prezydent — obmyśleć środki w celu zabezpieczenia bytu ludności, znajdującej się w obrębie fortów. W oblężonym Krakowie i Podgórzu oraz w gminach okolicznych (biorę tu w rachubę już wyjazd licznych najmniejszych mieszkańców) przebywać będzie około 170 tysięcy ludzi. Załogę twierdzy, acz szczupłą, przyjąć trzeba w cyfrze 50 tysięcy żołnierza. Chodzi więc o żywność, opał i światło dla przeszło 220.000 ludzi na przeciąg co najmniej czterech miesięcy. Zaprowiantowanie wojska jest oczywiście zadaniem komendy twierdzy, zaprowiantowaniem ludności cywilnej musimy się jednak zająć my sami z pomocą państwa i ze współudziałem komendy. Zważcie panowie, że tu chodzi o olbrzymie ilości środków żywności i opału — i rozwinąć musimy jak największą energię. Zważcie panowie, że samo miasto Kraków spożywa półtora miliona kilogramów mąki miesięcznie i co najmniej milion kilogramów świeżego mięsa, że więc założyć nam przyjdzie olbrzymie magazyny i scentralizować sprzedaż głównych środków żywności, oświetlenia i opału w sklepach miejskich celem zapobieżenia nadmiernej drożyznie i prywatnej spekulacji.

W tym celu Rada miejska zorganizować musi wydziały aprowizacyjne. Wreszcie zakomunikować panom winienem żądanie komendanta twierdzy, aby mieszkańcy ubożsi i nieprzydatni w twierdzy, a zwa-

szcza kobiety i dzieci niezwłocznie miasto opuścili. Komendant zapowiada, że ewentualnie w tym celu użyje środków przymusowych...

Na słowa te odezwały się wśród radców głośne protesty. Przedstawiciele rękodzielników w wielkiem wzburzeniu zerwali się z krzeseł. Jeden z nich, nie prosząc o głos, zaczął mówić:

— A dokąd się to mamy udać? Przecie cała Galicya jest terenem wojny? I z czego żyć będą nasze dzieci i żony? Skąd weźmiemy pieniędzy na wyjazd rodzin?

— My rękodzielnicy i przemysłowcy gotowych pieniędzy nie mamy — a teraz przecie żaden żyd nawet na sto procent nie da pożyczki! Skoro rząd uczynił z Krakowa twierdzę, niechże teraz ponosi skutki i troszczy się o ludność i nie da jej ginąć z głodu. My, ani nasze żony nie ruszymy się z miasta!

Także reprezentant robotników socjalistycznych wołał z wielkim ferworem, że gmina musi zająć się zaopatrzeniem żon i dzieci robotników powołanych do służby wojskowej.

— Już dzisiaj ludność głodem przymiera, bo od dni kilku ceny środków żywności podwoiły się! Tej gospodarce trzeba natychmiast kres położyć, wszystkie ceny głównych artykułów muszą być oznaczone przez komisję gminy! A rodziny robotnicze, pozbawione możliwości zarabkowania, muszą od jutra już otrzymywać racje żywności na koszt rządu. Wzywam Radę, aby stanowczo zaprotestowała przeciw wydalaniu ubo-

giej ludności z obrębu twierdzy. Toż na całym obszarze Galicyi za kilka dni nie będzie kawałka ziemi, na którem by można bezpiecznie przebywać. Właśnie w Krakowie pobyt jest względnie bezpieczny i co do mnie wątpię, aby oblężenie, podjęte przez armię rosyjską, mogło być groźne. Kraków jest potężną twierdzą, armia nasza stoi pod względem bitności, uzbrojenia i wszystkich urządzeń na wysokości swego zadania. To uznaję, choć socyalista i zasadniczy przeciwnik wojny. A liczę przytem na ruch mas...

— Najgorszą rzeczą byłoby wywoływać ruch mas i narażać się na represye, przerwał mowcy jeden z radców.

— Czyż nie rozumiecie, że Prusy, wciągając Rosyę do tej wojny, zamierzają oddać Rosyi Galicyę ale chcą zagarnąć część Królestwa z Łodzią? Wszczynając ruch rewolucyjny w Królestwie, wywołacie tylko interwencyę Pruską i pograżycie kraj w nowy odmęt nieszczęść.

Powstał hałas nieopisany. Dzwonek prezydenta po chwili uchylił burzę.

— Panowie — zabrzmiał spokojny głos prezydenta nie czas na spory. Chwila jest nader ważna i wymaga najenergiczniejszej i najspieszniejszej akcji. Jutro lub pojutrze komunikacya na zachód i wschód może już być przerywana, bo korpusy rosyjskie koło Ujścia-Solnego i Krzeszowic forsują przejście. Pozostanie nam otwarta tylko droga na południe, skąd

jedynie będziemy mogli sprowadzać prowiant do miasta. Wnoszę, aby Rada ogłosiła się *in permanentia* jako ciało doradcze przy komendzie twierdzy i utworzyła wydział centralny i komisye aprowizacyjne. Spodziewam się także, że panowie radcy, których obecność w mieście w tej ciężkiej chwili jest pożądana, nie opuszczą posterunku i pozostaną w mieście.

Rada powzięła odpowiednie uchwały i postanowiła w pierwszym rzędzie zakrzętać się około zgromadzenia potrzebnej ilości żywego bydła, zapasu zboża, cukru i węgla. Jak obliczono, wołów, cieląt i świń potrzeba było zgromadzić w obrębie twierdzy przeszło trzydzieści tysięcy sztuk, aby ludność i wojsko nie cierpiały skutkiem braku świeżego mięsa w ciągu trzech miesięcy przypuszczalnego oblężenia. Bydło to, rekwirowane z pomocą wojska z całej okolicy, mogło na razie mieć paszę na Błoniach, na trawnikach plantacyjnych, stokach Kopca Kościuszki i na pastwiskach gmin podmiejskich.

Radca Swierkowski opuścił jednak posiedzenie Rady przed końcem, aby zgłosić się do służby na dworcu kolei. Przechodząc przez ulicę Grodzką zauważył ze zdziwieniem, że pionierzy przez ulicę prowadzili tor kolei polnej, kładąc progi drewniane i przybijając do nich szyny. Takie koleje w kilku kierunkach przecinały miasto wiodąc z dworca krakowskiego ku fortom. Pionierzy pracowali z gorączkową energią, aby czempredzej robotę ukończyć. Bataliony piechoty, które co chwila z Węgier nad-

jeźdźwały, maszerowały do koszar, bastyonów i fortów; baterye artyleryi z wielkim turkotem pędziły przez miasto ku rogatkom, sznury wozów chłopskich oraz wozy trenu, napelnione prowiantem, dążyły do magazynów. Pędzono także stada bydła, zarekwirowane z najbliższych okolic Krakowa.

W mieście od wczesnego rana panował ruch febryczny, który około południa doszedł do szczytu. Sklepy z towarami spożywczymi były wprost obleżone przez kupujących. Przed wielu domami widać było dorożki, wozy i wózki, naładowane bagażami. Ponieważ kolej służyła tylko celom wojskowym, owe fiakry i wózki były jedynymi środkami komunikacyjnymi, jakie stały jeszcze do dyspozycji uciekającym z Krakowa mieszkańcom. Na Kaźmierzu i Stradomiu panował straszny lament; tam żydzi nawet na wózki ręczne ładowali swoje ruchomości, aby czempędzej móżd opuścić zagrożone miasto. Głuche wieści o stoczonej krwawej potyczce pod Ruszczą i Pleszowem, o sforsowaniu przez korpus rosyjski przejścia przez Wisłę pod Niepołomicami i o przerywaniu komunikacji ze Lwowem szerzyły wśród tłumu panikę.

Dziedziniec ratusza tymczasem zapełnił się popisowymi pospolitakami. Starzy i młodzi, poważni obywatele i niedorostki cisnęli się przed komisję; niektórzy weseli, inni mocno przygnębieni, a wszyscy niecierpliwie wyczekujący orzeczenia, czy i do jakiej służby będą użyci.

Staś Swierkowski był jednym z pierwszych, który

zrana stawiał się do poboru, ale zastępy pospolitaków zwiększały się tak szybko, że komisya rady sobie dać nie mogła z badaniem. W jednym kącie dziedzińca czeladnicy i chłopcy rzeźniccy utworzyli hałaśliwą grupę, która śmiechem i drwinami przyjmowała wchodzących chuderlawych uczniów gimnazyalnych i podstarzałych jegomościów o wydatnych brzuszku i zgarbionych plecach. Rzeźnicy, dumni ze swej siły, kpili z niezdatnych do wojennego rzemiosła przybyszów. — Młodzież gimnazyalna i uniwersytecka bardzo licznie się jawiąca gniewnie spoglądała ku rozbrykanej czeladzi, z której niektórzy już sobie zrana podpili, aby nabrać animuszu.

Grozy wojennej nie czuć tu było wcale, przeciwnie panował nastrój dziko hulaszczy, wesoły...

Ale zgoła inne usposobienie objawiało się wśród publiczności zebranej przed gmachem magistratu. Matki, żony i siostry pospolitaków cisnęły się przed bramą dziedzińca, wbrew protestom policyantów; wszystkie pragnęły się dowiedzieć, czy mężowie i synowie będą wzięci do służby w linii. Tu panował płacz i szloch! „Každy, co ma lat ośmnaście, pójdzie się bić!” powiadała jedna kobieta drugiej.

— Moja pani! co to się dzieje! Z Rosyą i Prusakiem naraz bić się, temu przecie nasze wojsko nie poradzi. Oj, straszne nastały czasy!

— Oj straszne, straszne!

Staś Swierkowski wreszcie około południa doczekał się swej kolei stawienia się przed komisją. Do-

brze zbudowany chłopak został natychmiast uznany za zdolnego do noszenia broni, asenterowany na czas wojny i przeznaczony do 13-ego pułku piechoty. Jego kolega „Buła“ nie znalazł łaski w oczach komisji, ale, że się chłopak zmartwił, przeto wzięto go także, z przeznaczeniem do służby kancelaryjnej. Stasia Swierkowskiego zaś i około 30-tu młodych powierzono feldfelblowi, który uszykował ich czwórkami i poprowadził do koszar arcyksięcia Rudolfa przy ulicy Warszawskiej.

Chłopcy szli wśród śmiechów i żartów. Było wśród nich kilku uczniów gimnazjalnych, kilku akademików, ale większość stanowili czeladnicy i pomocnicy handlowi.

Feldfelbel wyglądał na pocziwego, jowialnego człowieka.

— Ej rekruty, przestaniecie wy się rychło śmiać, gdy was zaczną abrychterować. Poznacie wy, co to wojna, gdy wam dadzą gwer i łopatę do ręki i każą szańce w polu kopać, a kozacy do was łup, łup z karabinków!

— A w jakiejże to pan był wojnie, panie feldfelbel? zapytał Staś Swierkowski, idący w pierwszym szeregu.

— Na wojnie nie byłem, ale byłem w Bośni w latach 1908 i 1909 i wiem, jak smakuje służba, gdy trza w zimie wartować na granicy nieprzyjacielskiej, a serbskie kulki nieraz mi świstały koło ucha.

Przechodząc przez Rynek, Staś spostrzegł powóz, w którym siedziała pani Silnicka. Ukłonił się jej, a ona uśmiechnęła się doń. Wydawała mu się blada

i smutna — i istotnie nie mylił się wcale. Bo pani Silnicka, słysząc o potyczkach stoczonych już na wschodzie i zachodzie od Krakowa i o forsownem posuwaniu się korpusów rosyjskich naprzód (te wiadomości przyniosły dzienniki, które zrana wydały swój ostatni numer, i zmuszone zaprzestać wydawnictwa dla braku personалу w drukarni i redakcyi, postanowiły nadal jedną tylko zbiorową informacyjną wydawać kartkę), pani Silnicka była mocno zaniepokojona. Gdyby nie wzgląd na chorą matkę, wyjechałaby natychmiast z zagrożonego miasta w obawie, czy za kilka dni niebędzie już zapóźno. Wogóle wyjazd z każdą godziną stawał się trudniejszym, bo wojskowość zarządziła rekwizycyę wszystkich koni — i za dwa, trzy dni mogło już zbraknąć sposobności do wyjazdu powozem. W tym kłopotcie dobra myśl przyszła pani Annie do głowy: aby wynająć automobil i w ten sposób zabezpieczyć sobie możność wyjazdu na Węgry, Ale szofer? Ach, szofera łatwo będzie znaleźć, Ostatecznie Staś Świerkowski, który ku zmartwieniu swej matki palił się do sportu i znał się trochę na mechanice automobilów, mógł prowadzić samochód. Pani Anna zabrała, wyjeżdżając z Londynu, dziesięć tysięcy koron, które miała prawie nie naruszone. Umyśliła zatem wynająć automobil — o cenę mniejszą! — którymby mogła dysponować. I wtym celu wyjechała na miasto, a zarazem zamierzała zasięgnąć informacyi w komendzie co do możliwości wyjazdu.



Pierwsza bitwa.

O ile w samym Krakowie ludność była względnie spokojną i czuła się pod osłoną fortów bezpieczną, o tyle w okolicach Krakowa na pierwszą wieść o zbliżaniu się armii rosyjskiej zapanowało nieopisane przerażenie. Galicya zachodnia była właściwie opróżniona z wojska; armia galicyjska pod wodzą zbrojnego mistrza Steinsberga koncentrowała się pod Jarosławiem i Przemyślem; obronę zaś brzegów Wisły powierzono załodze krakowskiej oraz kilku pułkom kawalerii i artylerii, rozlokowanym w Tarnowie i w Chrzanowie. Te siły austriackie były oczywiście nie wystarczające i nie mogły powstrzymać pochodu korpusów rosyjskich, mających oblegać Kraków. Mogły go jednak utrudnić i opóźnić: i to było ich głównem zadaniem.

Mieszkańcy Bochni Tarnowa, Brzeska, Niepołomic, oraz Szczakowej, Trzebini, Jaworzna, Chrzanowa od dwu dni w przerażeniu uciekali bądź ku Krakowowi, bądź w głąb kraju lękając się kozaków. Tylko władze i odważniejsi obywatele, oraz ludność uboga, która nie miała nic do stracenia, pozostała w tych miastach.

Wielu ludzi schroniło się do Wieliczki. Broniona przez potężny fort w Rajsku, podwójny fort w Prokocimiu, fort w Rżące i spieszenie wznoszone fortyfikacje na szczycie wzgórza Sierczowskiego, bezpośrednio nad miastem, Wieliczka wydawała się okolicznej ludności bezpiecznym azylem.

Jakoż mimo sygnalizowanego zbliżania się wojsk rosyjskich, w Wieliczce i wogóle w całej połaci kraju, leżącej po prawym brzegu Wisły, życie, to życie spokojnej prowincyi, szło jeszcze normalnym trybem. Zamąciła je oczywiście mobilizacya, która wszystkich mężczyzn wyrwała z domów i rzuciła popłoch na miasta i sioła, ale mimo to wojna wydawała się tu czemś dalekiem. Nie wyobrażano sobie wprost możliwości, iżby wróg zdołał w krótkim czasie przebyć Wisłę i zaatakować miasto Kraków także od południa.

A nietylko ludność powiatu podgórskiego i Wielickiego, ale nawet także krakowski sztab generalny nie spodziewał się tak szybkiego natarcia armii rosyjskiej.

Tymczasem korpusy rosyjskie, frontem na sto kilometrów szerokim, posuwały się ku granicy galicyjskiej pod Krakowem. Na całej linii od Ujścia Solnego po Szczakowę walczyły już przednie straże i grzmiały armaty.

Jak wspomnieliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, już dnia poprzedniego popołudniu, komenda twierdzy w Krakowie zaalarmowaną została wieścią, że znaczne siły rosyjskie gotują się do przekroczenia granicy

koło Karniowa. Wszystkie siły, jakie w mieście były jeszcze do dyspozycji, wysłane zostały gościńcami mogiłskim i kocmyrzowskim oraz gościńcem przez Prądnik Czerwony wiodącym — ku obronie granicy.

Kolumny austriackie, maszerujące ku Mogile i Kocmyrzowi, rozwinęły się w linię bojową na polach Łuczanowic, Wadowa, Ruszczy i Wyciąża nad potokiem. Strzelcy obsadzili lasek łuczanowicki, artylerya doskonałą miała pozycję na wzgórzach; trzy szwadrony zaś żółtych dragonów z baterią artylerii wysunęły się naprzód ku Kościelnikom, żeby ewentualnie nieprzyjaciela z flanku atakować. Dalej zaś na południu prawy brzeg Wisły był broniony przez kawaleryę z Niepołomic i Bochni.

Dywizya rosyjskiej kawaleryi, złożona z dragonów i kilkunastu sotni kozaków z 3 batalionami jęgrów i artylerią konną ciągnęła od Karniowa i Czulic. Kocmyrzów został przez kozaków spalony. Dragoni austriaccy pod Kościelnikami straszną kanonadą kilku baterij rosyjskich zostali zmuszeni do cofnięcia się do Ruszczy.

Tymczasem zapadła noc. Ciepła, pogodna, ale w braku księżyca bardzo ciemna wrześnieowa noc.

Ogień z dział mimo to nie ustawał.

Reflektory fortów, odległych od pola bitwy o cztery kilometry, rzucały smugi bladego światła na kirem nocy okryte pola i niwy. Te blade, jakby upiorne, snopy światła, nie sięgały dalej, niż na półtora kilometra i powiększały tylko grozę tej walki

nocnej. Zdawało się, jakby jakieś widma błędziły zdala na tyłach wojska...

Pod osłoną nocy jegry rosyjskie posuwały się dalej. Strzały karabinowe zwały się w jeden przeciągły suchy łomot, nad którym dominował grzmot kanonady armatniej.

Naraz około godziny 11-tej w nocy dwa olbrzymie krwawe słupy ognia buchnęły ku niebu. Od szrapnelów austriackich zapaliły się Kościelniki, strzały rosyjskie wzniciły pożar w Pleszowie.

Te dwa pożary oświeciły dopiero pole bitwy.

Austriacki komenderujący generał, który miał swą kwaterę w Pleszowie, otrzymał równocześnie wiadomość, że nowa silna kolumna rosyjska ciągnie wzdłuż lewego brzegu Wisły ku Wyciążom. Wprawdzie tymczasem z Krakowa nadeszły posiłki, batalion piechoty 13 p. i batalion 56 p. z artylerią, niemniej siły austriackie były za słabe, aby powstrzymać natarcie rosyjskie. Huk dział, coraz się wzmagający, świadczył, że Rosyanie wprowadzili tu w bój nie tylko straż przednią, ale, że cały korpus tu walczy.

Generał austriacki zrozumiał, że Rosyanie dążą ku Wiśle, aby pod Niepołomicami sforsować przejście.

Front bojowy austriacki zwrócił się zatem ku Wyciążom i Wiśle.

Bitwa stała, bo w ciemnej nocy wojska atakować nie mogły. Oddziały zatrzymały się na pozycjach i okopały się. Około godziny 1-ej w nocy ogień piechoty ucichł, tylko dwa działa grały dalej. Strzelcy

austriacy próbowali wprowadzić kilkakrotnie posuwać się ku Kościelnikom, ale za każdym razem zmuszeni byli cofnąć się na dawne stanowiska skutkiem silnego ognia rosyjskiego. Zdaleka od wschodniej strony dochodził głuchy odgłos kanonady. Widocznie gdzieś za Niepołomicami nad Wisłą toczył się także bój.

Tak przeszły jeszcze dwie godziny, w których wojsko, znużone i głodne, drzemało na pozycjach.

Pożar Pleszowa udało się przygasić, natomiast Kościelniki płonęły w dalszym ciągu, krwawą luną zaścielając ciemny strop niebios.

Straty obustronne nie były jeszcze znaczne, albowiem walka toczyła się tylko z odległości między artylerią i piechotą, a ze strony kawalerii do żadnej większej szarży jeszcze nie przyszło. Niemniej austriacy lekarze na placach opatrunkowych mieli moc do roboty — i przy świetle pochodni oraz reflektorów elektrycznych opatrywali przez całą noc rannych, znoszonych z linii bojowej. Także kilkunastu chłopów z Pleszowa, którzy próbowali gasić pożar, trawiący ich dobytek, odniosło rany od czerepów pękających pocisków. Z chwilą, gdy walka stanęła, zabitych liczono po stronie austriackiej około 70, ciężko rannych podwójną ilość.

Tak minęła godzina trzecia. Niebo poczęło szarzeć, dzień wstawał.

Ranek był chłodny. Żołnierze, szukający osłony za każdą naturalną wyniosłością gruntu, za płotami,

drzewami, krzakami i w szybko wykopanych rowach, drżeli z zimna, głodu, wyczerpania i zniechęcenia,

Żołnierz czuł bowiem, że walczy z przeważną siłą, której powstrzymać i odeprzeć niezdola — i że przeznaczeniem jego było utrudniać pochód nieprzyjaciela — a nie zwyciężyć.

Dla tego brakło mu tej ochoczości bojowej, która rwie naprzód i wszystko przed sobą obala.

Ale także po stronie rosyjskiej nie atakowano gwałtownie, lecz bitwa ograniczała się do wymiany strzałów z odległości, do pojedynku artylerii i piechoty,

Ledwo błękitnawo-szary świt rozprószył nieco ciemności nocne, tyralierzy austriaccy poszli naprzód, Na całej linii bojowej zabrzmiała znowu palba karabinów, a w ślad za nią ryknęły i haubice. Kawaleria austriacka, która za Wyciążami się sformowała, ruszyła naprzód ku Wolicy. Dwa szwadrony z baterią haubic oddzieliły się i poszły prosto ku Wiśle, a trzy szwadrony przekroczyły granicę i weszły na terytorium Królestwa Polskiego. Na równinie koło Pobiednika austriaccy dragoni ujrzeni kilka sotni kozaków, kłusujących ku Wiśle. Kozacy na widok nieprzyjaciela rozwinęli się szeroko i z przeraźliwym krzykiem hura! popędzili naprzód. Dragoni również w szyku bojowym ruszyli do ataku. Była to wspaniała szarża! Szeregi zwarły się jak burza wśród szczęku szabel, rżenia koni, krzyku i dźwięku trąby. Kozacy nie wytrzymali natarcia; pierwszy szereg został zrąbany, dalsze szeregi zawróciły i jęły uciekać ku Ko-

ścielnikom. Na ich karkach pędzili dragoni, ale naraz z, za pagórków koło Pobiednika i Kościelnik poczęła się wysuwać rosyjska piechota, a nad głowami dragonów jęły pękać szrapnele.

Dragoni zatrzymali się — i poczęli się cofać pod gradem kul.

Od strony Niepołomic dolatywał coraz gwałtowniejszy huk dział. Wzdłuż lewego brzegu Wisły posuwały się silne oddziały wojska rosyjskiego, zagrożając od lewego flanku oddziałom austriackim, skupionym koło Wyciąż, Branic i Ruszczy. Rozciągnięte szeroko siły austriackie były już z trzech stron atakowane przez wojska rosyjskie. Dowódca austriacki kilkoma bateriami haubic ostrzeliwał Rosyan, rozwijających się na równinie nad Wisłą przed Niepołomicami, nie mógł jednak wobec ognia rosyjskiego sam utrzymać się na pozycji i zarządził powolny odwrót ku Branicom i Pleszowowi pod osłonę fortów w Mogile, na Kopcu Wandy i w Krzesławicach, których wielkie działa powstrzymały Rosyan w dalszym pochodzie.

Tymczasem pod Niepołomicami toczyła się dalej walka. Kawalerya i artyleria austriacka, broniące tam brzegu Wisły, zostały po godzinnej kanonadzie zmuszone do cofnięcia się. Mieszkańcy Niepołomic już w nocy uciekli ku Staniątkom i Wieliczce. I dobrze uczynili, bo o świcie nad samym miastem zaczęły pękać szrapnele. Pod osłoną dział saperzy rosyjscy zbudowali wyżej i niżej Niepołomic trzy mosty ponto-

nowe — i około dziesiątej godziny przed południem kozacy i jęgrzy byli już na prawym brzegu Wisły. Niepołomice były w posiadaniu Rosyan. Austriackie siły broniące przeprawy cofały się ku Wieliczce.

Przez mosty pontonowe nieprzejrzanym sznurem popłynęły bataliony rosyjskie, których komendant obrał kwaterę w Niepołomicach. Wojska rosyjskie zabrały się zaraz do zakładania tu, na prawym brzegu Wisły, warownego obozu.

W ten sposób już na drugi dzień po roapoczęciu kroków wojennych, Kraków był od wschodu odcięty od komunikacyi z krajem. Pod wieczór tego samego dnia dowiedziano się w mieście, że także komunika-cya z zachodem została przzerwana i tor kolei Półno-cnej uszkodzony przez Rosyan na wielkiej przestrzeni. Śląsk zaś zalany był przez Prusaków.

Tylko strona południowa Krakowa była wolna od nieprzyjaciela. Linia kolejowa ku Kalwaryi i Suchej, oraz gościniec myślenicki były jedynemi drogami, łączącemi Kraków z światem, jedynemi, któremi mógł się odbywać dowóz żywności, transport wojska i materyałów wojennych do oblężonej twierdzy.

W Krakowie na wieść o zamknięciu miasta z trzech stron zapanowało ogromne wzburzenie. Głośno sarkano na niedołęstwo komendantów wojskowych, którzy nie zdołali powstrzymać zapędu Rosyan. Były to jednak zarzuty zgoła nie słuszne wobec szczupłości załogi wojskowej w Krakowie, która w otwartem polu nie mogła stawić czoła korpusom rosyjskim.

Natomiast wytężono wszystkie siły, aby obronić południową stronę i utrzymać tu komunikację. Górzysta konfiguracja kraju między Skawiną a Wieliczką sprzyjała tej obronie; każde wzgórze było tam ufortyfikowane, o każdą piędź ziemi Rosyanie musieli zawzięte walki staczać i posuwać się nie mogli.

Tak minął tydzień. Do Krakowa doszła wieść, że Prusacy, którzy jedną armią posuwali się przez Śląsk wzdłuż Odry, wysłali jeden korpus ku Cieszynowi i Jabłonkowi. Podobno korpus ten miał także Rosyapomagać przy oblężeniu Krakowa i podobno prowadził za sobą jeden z balonów Zeppelina.

Pani Anna wyjeżdża z Krakowa.

Dnia dziewiątego po tych wypadkach przed Grand-Hotel, gdzie mieszkała pani Anna Silnicka z matką, a o godzinie 8-ej z rana zajeżdżał automobil.

Dzięki protekcyi, jaką sobie żona słynnego wynalazcy wyrobiła, władze wojskowe pozwoliły jej opuścić Kraków automobilem. Nadto pani Anna uzyskała, że przydano jej dwu żołnierzy, którzy ją mieli z miasta wyprowadzić i towarzyszyć jej aż do Zakopanego, skąd p. Anna zamierzała dalej pojechać na Węgry i próbować potem wogóle opuścić granice Austrii, aby powrócić do męża. Wpływy wybitnych obywateli miasta, którzy interweniowali u komenderującego generała, sprawiły, że jednym z tych żołnierzy był młody Staś Swierkowski, który pełnił służbę w trzy-nastym pułku piechoty; drugim był feldfebel Pawliczek, Czech z rodu. Staś Swierkowski został dla tego wybrany, ponieważ miał prowadzić automobil, feldfebel zaś został przydany, ponieważ tak młodego żołnierza jak Staś nie można było wysyłać w drogę samego. Obaj żołnierze mieli, odprowadziwszy panią Annę, natychmiast powrócić do twierdzy.

Ranek był bardzo chłodny, ale pogodny. Zima snadź zapowiadała się wczesna, skoro nagle w pierwszych dniach października nastąpiło wielkie zimno, a rankami już szron srebrzył się na trawnikach plantacyi, gdzie pasły się stada spędzonych do miasta wołów.

Pani Anna z matką o godzinie ósmej były już do drogi ubrane, czekały tylko jeszcze na przybycie państwa Swierkowskich. Joasia Swierkowska miała towarzyszyć pani Annie w drodze; pani radczyni, która sama nie chciała miasta opuścić, wobec tego, że mąż i syn w niem pozostać musieli, życzyła sobie, aby przynajmniej córka wyjechała — a pani Anna chętnie ofiarowała się zabrać ją z sobą.

O wpół do dziewiątej przybyli państwo Swierkowscy i nastąpiła scena pożegnania, pełna uścisków i łez. Joasia wprawdzie cieszyła się, że zobaczy świat, ale zarazem nie mogła się utulić z żalu, że rodziców i brata zostawia w niebezpieczeństwie.

Pan Swierkowski przerwał wreszcie te płacze, mówiąc;

— Spieszcie się, bo szkoda czasu tracić. Podobno nieprzyjaciół już zachodzi od południa...

Pani Anna dała mu znak, aby milczał.

— Nie trzeba matki straszyć, szepnęła. Czy rzeczywiście droga jest niebezpieczna?

— Na razie nie. Ale kto wie, czy jutro lub pojutrze komunikacya i tu nie będzie przerwana. Po-

dobno kilkanaście tysięcy Prusaków ciągnie ze Śląska ku Krakowowi...

Na przednim siedzeniu automobilu siedzieli już obaj żołnierze. Staś Świerkowski, wychudzony skutkiem forsownych ćwiczeń, do jakich go w wojsku zaraz zaprawiano, z dumą dzierżył kierownicę automobilu. Feldfebel Pawliczek, któremu nie zdarzyło się jeszcze nigdy w ciągu jego służby wojskowej, aby go użyto do eskorty dam, z wielkim respektem spoglądał na pannę Annę i wzbraniał się zapalić papierosa, którym go Staś częstował.

Pani Anna zajrzała jeszcze raz do torebki podróżnej, aby się przekonać, czy wszystkie papiery, a zwłaszcza przepustka, wydana przez komendanta twierdzy, znajduje się w porządku, odziała matkę troskliwie w futro i sprowadziła do automobilu,

Pani Świerkowska do koszyka z prowiantami, jaki pani Anna zabierała w drogę, dołożyła jeszcze parę kurcząt.

— To są już pewno ostatnie, jakie się w Krakowie znalazły. Kupiłam je na targu przed dziesięciu dniami, w przeddzień wojny i trzymałam je dotychczas w ogrodzie. Wczoraj dopiero kazałam je kucharzowi zabić dla Was, moi drodzy!

— Ależ ciociu — mówiła p. Anna — ja wzięłam i tak pełny koszyk prowiantów ze sobą.

— Od przybytku głowa cię nie zaboli, a wiadomo, co was w drodze spotka...

Jeszcze uściski, szloch Joasi, poczem panie wsiadły

do automobilu. Na chodniku zgromadziło się sporo ciekawych, gapiących się na odjazd trzech pań pod eskortą żołnierzy.

— Jedźmy Stasiu! — zakomenderowała pani Anna.

Automobil zaczął łomotać, ruszył z miejsca i znikł niebawem na skrócie ulicy Sławkowskiej. Zapłakana Joasia, wiewając chustką, długo oglądała się za matką.

— Tylko wolno, Stasiu! — upominała p. Anna, nie bardzo dowierzając umiejętności młodego kuzyna w kierowaniu samochodem. Ale Staś spełniał dzielnie funkcję szofera.

Na moście podgórskim automobil pierwszy raz został zatrzymany przez posterunek wojskowy. Pani Anna jednak pokazała przepustkę — i bez dalszych badań ruszono dalej.

Przejechano Podgórze. Teraz już co krok spotykali posterunki wojskowe, widzieli nowo wzniesione baraki i t. p. Jechali gościńcem ku Borkowi Fałęckiemu, Mogilanom, Myślenicom.

Przed mostkiem na Wildze zostali znowu zatrzymani przez oddział wojska i musieli się dokładnie wylegitymować oficerowi, który polowym telefonem zawiadomił o przejeździe automobilu komendanta w pobliskim forcie.

Fort ten znajdował się pod Borkiem Fałęckim, a wieś tej nazwy zamienioną była na obóz wojskowy. Samochód zatrzymał się tu po raz trzeci, a feldfebel wysiadł i poszedł meldować się kapitanowi. Tenże,

elegancki, grzeczny człowiek, niebawem podjechał do samochodu, przedstawił się paniom i uprzejmie oświadczył gotowość towarzyszenia im kilka kilometrów, aby ułatwić przejazd przez linię wojsk między fortami. Pani Anna chętnie przyjęła propozycję i kapitan na koniu towarzyszył wolno jadącemu automobilowi. Pani Anna widziała, jak po obu stronach gościńca oddziały wojska sypały na polach szańce i kopały rowy. Szańce sięgały aż do gościńca, a lufy armat, za osłoną z grubej blachy pancerniej, groźnie się jeżyły. Płoty z drutu kolczastego ciągnęły się przed szanćami. Mucha nie mogłaby przecisnąć się pomiędzy fortami, by nie napotkać przeszkód w postaci wysokich okopów, siatek drucianych, płotów kolczastych i t. p. Przejechali nareszcie linię fortów i tor kolei państwowej, wiodący ku Skawinie. Tor był także silnie strzeżony, a jeszcze w odległości jednego kilometra przed fortami widniały nowe okopy i rowy, stanowiące przednią linię obrony fortów.

Tu kapitan pożegnał panie i życzył im dalszej szczęśliwej podróży.

Staś przyspieszył teraz chyżość automobilu i doskonałym gościńcem jechano ku Mogilanom. Dziesięć kilometrów drogi przebyto w pół godziny.

W Mogilanach jednak na rynku musiano się znowu zatrzymać. Znajdował się tu szwadron konnicy z baterią artylerii konnej. Automobil z żołnierzami na przednich siedzeniach zwrócił uwagę oficerów, siedzących w restauracji. Wysłuchawszy raportu feld-

febla, rotmistrz przystąpił do pani Anny, by zakomunikować jej wiadomość, która wszystkie panie niezmiernie przerażała.

— Aż do Myślenic, a więc jeszcze 20 kilometrów dalej, droga jest zupełnie bezpieczna, a w Myślenicach znajduje się szwadron huzarów i artylerya, ale do Myślenic poczynają się już zbliżać rekonesanse nieprzyjaciela, więc należy się mieć na baczności.

Rotmistrz naglił tedy do pośpiechu.

Nie trzeba było tego paniom powtarzać. Automobil całą chyżością popędził dalej. Po drodze spotykano liczne fury, eskortowane przez żołnierzy, wiozące środki żywności, drzewo i t. p. ku Mogilanom.

— Może się tu zatrzymamy? — zapytał Staś, gdy wjeżdżali do Myślenic. Trzebaby może zjeść tutaj śniadanie?

— Nie, nie! Nie traćmy ani chwili czasu — zawołały wszystkie panie. Słyszałeś przecie, co mówił rotmistrz.

Niemniej i w Myślenicach nastąpił krótki postój — i trzeba się było poddać badaniom oficera, który na czele patrolu właśnie wybierał się na rekonesans, na zachód. Był to młodziutki oficer, z twarzą zupełnie ogorzałą od wiatru, w mundurze zabłoconym i podniszczonym. Widocznie dłuższy czas pełnił służbę w polu.

— Czy istotnie dalsza droga jest niebezpieczną? — zapytała go po cichu p. Anna, starając się, aby matka nie słyszała zapytania.

— Na południe możecie panie śmiało jechać. Natomiast my tu w Myślenicach spodziewamy się dziś lub jutro pierwszych starć z przedniemi strażami nieprzyjacielskiego korpusu. ciągnącego od zachodu. Niech pani jednak będzie spokojną: do Zakopanego dojdziecie dzisiaj bez przeszkód.

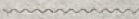
Zaczem ruszono w drogę. Oficer ze swoim patrolem gościńcem na zachód, automobil zaś na południe.

Jechano doliną Raby, okolicą górzystą i wcale malowniczą. Niebo jednak zaczęło się chmurzyć, mroźny wiatr siekł twarze jadących drobnym deszczem. Automobil nie miał dachu ni osłony, więc niepogoda bardzo dawała się we znaki jadącym i pani Anna obawiała się bardzo o zdrowie matki. Ale jechano dalej, wśród mgły, którą wiatr od gór nawiewał.

Tak minęło jeszcze przeszło pół godziny. Automobil ślizgał się w rozmiękłym gruncie. Mniej więcej dwanaście kilometrów poza Myślenicami, już za wsią, zwaną Pcim, zaczął sypać tak gęsty śnieg zmieszany z deszczem, że pani Anna zamyśliła przeczekać zadymkę w jakiej podróźnej karczmie. Automobil zbliżał się właśnie do jakiegoś domostwa i zwolnił chyżość.

— Doskonale! Właśnie dojeżdżamy do karczmy!

— Stasiu! Zatrzymajmy się tutaj — zawołała pani Anna.



W szponach pruskich.

Nagle kilkunastu jeźdźców, ukrytych za węglem tej karczmy, pojawiło się na gościńcu i popędziło galopem ku automobilowi.

— Prusacy! krzyknął feldfebel Pawliczek.

— Jezus Marya! — zawołały panie.

Staś chciał automobil wstrzymać i zawrócić, ale było już za późno. Dziesięciu czarnych pruskich dragonów zbliżyło się na odległość 50 kroków do automobilu. Feldfebel Pawliczek widząc, że ucieczka samochodem jest niemożliwa, wyskoczył z wozu i kopnął się przez rów ku pobliskiemu laskowi.

Huknęły za nim karabinki. Feldfebel padł, nie wydawszy jęku, twarzą na śniegiem pokryty rozmiękły ugor.

Jeźdźcy z podniesionemi karabinkami już byli przy automobilu.

Automobil stanął.

— Heraus! — krzyknął wachmistrz, przykładając Stasiowi rewolwer prawie do piersi.

Pani Młodecka widząc to, była blizką zemdlenia.

Joasia zakryła sobie oczy i histerycznie płakała. Pani Anna jedna zachowała jeszcze spokój.

Nagle zbladła strasznie. Przypomniała sobie bowiem, że jest ściganą przez sądy pruskie, a nazwisko Silnickiego należy do najbardziej znienawidzonych w Niemczech. Jeżeli Prusacy teraz dowiedzą się o jej nazwisku, niewątpliwie zatrzymają ją w niewoli jako pożądaną zdobycz! Na tę myśl pani Anna zadrżała i krzyknawszy do swych towarzyszek i Stasia, który tymczasem pod grozą rewolweru wysiadł z automobilu: „Nie wyjawiajcie mego nazwiska!“, próbowała drżącymi rękami z torebki wydobyć dokumenta podrózne, aby je ukryć pod siedzeniem.

Dostrzegł to jednak wachmistrz i skoczywszy ku niej, wydarł jej brutalnie z ręki torebkę i papiery, krzycząc: — Heraus mit euch! Wirds bald?

— Niech się dzieje, co chce! — pomyślała p. Anna i wysiadła z wozu, prosząc po niemiecku żołdaka, by miał wzgląd na chorą matkę.

Dobra niemieczyzna, w jakiej pani Anna wypowiedziała swą prośbę, udobruchała żołnierza, który już grzecznym tonem dodał:

— Nic się wam przecie, moje panie, nie stanie, pójdziecie tylko do karczmy, gdzie pan lajtnant z wami pogada.

Pani Anna, trochę uspokojona, podtrzymując matkę na pół nieprzytomną ze strachu i upominając Joasię, aby przestała płakać, podążyła obok żołnierzy ku karczmie, odległej o kilkaset kroków. Żołnierze kazali

Stasiowi automobil popychać po gościńcu, ale ponieważ szło to zbyt powoli, trzech dragonów wsiadło do automobilu, Staś musiał wsiąść także, samochód w ruch puścić i zajechać przed karczmę. Przed karczmą stał młody porucznik i kilkunastu dragonów. Był to rekonesans pruski, który z nadzwyczajną bravurą zapuścił się w głąb nieprzyjacielskiego kraju, ogołoconego tu z wojska — i o dwa lub trzy dni drogi wyprzedził swoją główną kolumnę.

Dowódca rekonesansu, Botho von Eulenrode, był typem drapieżnego, zuchwałego krzyżaka. Potomek bocznej ubogiej linii starego bogatego pomorskiego rodu, Botho miał naturę dawnego raubrittera lub landsknechta; marzył o karierze wojskowej, o odznaczeniu się na wojnie, o łupach i zdobyczach. Już jako młody kadet zazdrościł tym oficerom, którzy brali udział w wyprawie na Pekin, i wyobrażał sobie z lubością, jak on dopiero umiałby plądrować pałac cesarski, płazować podłych Chińczyków, a skośnookie Chinki w jedwabnych szatach ciągnąć do swego namiotu! Teraz, gdy wojna wybuchła, Botho postanowił odznaczyć się i użyć do syta. Doskonały jeździec, nie znał trwogi i pełnił służbę w przedniej straży pruskiego korpusu, ciągnącego przez Śląsk. Korpus ten, jak wiadomo, miał pomagać Rosyanom przy oblężeniu Krakowa, a zarazem osłaniać flanki głównej armii pruskiej, zmierzającej przez Morawę ku Wiedniowi.

Młody krzyżak był zagniewany, bo w karczmie wcale nie znaleziono ani wiktuałów, ani napojów.

Szpicrutą bijąc się po cholewach butów, oczekiwał nadejścia więźniów. Na widok dwu ładnych kobiet rozchmurzył się nieco i mniej brutalnym tonem niż zamierzał, zapytał:

— Skąd przyjeżdżacie? Kto jesteście?

Pani Anna zrazu nic nie odpowiadała, tymczasem wachmistrz podał oficerowi torebkę podróżną i papiery pani Anny, mówiąc;

— Ona mówi dobrze po niemiecku.

Więc oficer ponownie zapytał:

— Proszę o nazwiska pań. I zwracając się do pani Anny, dodał:

— Pani jest Niemką? Twarz pani wydaje mi się dziwnie znaną!

— Nazywam się Młodecka, odpowiedziała pani Anna, podając swe panieńskie nazwisko, a to jest moja matka i moja kuzynka. Jedziemy z Krakowa. Pan kapitan pozwoli nam jechać dalej? Matka moja jest chora.

Oficer tymczasem rzucił okiem na przepustkę, wystawioną przez komendanta twierdzy krakowskiej i nagle zaiskrzyły mu się oczy.

— A która z pań jest Silnicką? — krzyknął.

Pani Anna zrozumiała, że dłużej jej identyczność utaić się nie da. Podeszła krok bliżej ku oficerowi i rzekła spokojnym, dobitnym tonem:

— Ja jestem Anna Silnicka, żona wynalazcy i zostaję pod opieką Stanów Zjednoczonych Ameryki. Papiery moje są w porządku. Proszę nas zatem

dłużej nie zatrzymywać, bo z chorą matką wyjeżdżam za granicę.

— Doprawdy? — zaśmiał się szyderczo oficer. Tamtych pań nie będę zatrzymywał, ale pani pojedzie z nami do głównej kwatery pruskiej, gdzie będzie pani mile widzianym gościem.

— Zwracam panu uwagę, że stoję pod osłoną Stanów Zjednoczonych Ameryki i pan nie masz prawa mnie zatrzymywać.

— Pani jesteś zbrodniarką i schwytaliśmy panią na terytoryum, na którem od dziś władają zwyciężkie Prusy. Pani pójdziesz przed sąd! Porachujemy się za pancernik „Cesarz Wilhelm Wielki“. Wachmistrzu, brać te kobiety pod straż i zamknąć w karczmie! — krzyknął, zwracając się do żołnierzy. A temu związać ręce, dodał, wskazując na Stasia, żeby nam nie umknął przed czasem.

Dragoni zaprowadzili trzy panie do alkierza w karczmie, a Stasiowi związali ręce i posadzili go w sieni karczmy. Poszturkując młodego żołnierza, wachmistrz rzekł mu dobrodusznie:

— Nie bój się, nie będziesz tu długo siedział, bo za pół godziny ruszamy z powrotem ku naszym przednim strażom.

Tymczasem porucznik Botho kazał przeszukać samochód w nadziei, że znajdzie w nim prowianty. Jakoż nie zawiodł się. Żołnierz przyniósł do karczmy kosz dobrze wyładowany smakołykami, oraz blaszany rezerwoar.

— Po cóż tu i benzynę przynosisz? zapytał go Botko.

— Melduję posłusznie, myślałem, że w tej blaszance jest może wino, odpowiadał dragon.

— Toś głupio myślał, rzekł Botko, rozpakowując kosz z prowiantami.

Pasztet i kurczęta pani Swierkowskiej znalazły uznanie u porucznika Eulenrode. Także butelka wina francuskiego w mig była otwarta i wypita. Drugą butelkę schował sobie porucznik na później, trzecią zaś i kosz z prowiantami ofiarował żołnierzom, którzy tymczasem przed karczmą pozsiadali z koni i rozsiedli się pod ścianą, paląc fajki i papierosy. Tylko dwu dragonów, z daleka widnych na gościńcu, trzymało straż z obu stron karczmy.

W alkierzu więzione panie siedziały zrozpaczone. Pani Młodecka była tak przerażona i oszołomiona wypadkami, że siedziała nawpół przytomna. Na szczęście nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tego, co groziło jej córce. Joasia płakała bez przerwy, aż jej oczy napuchły. Pani Anna zniecierpliwiona rzekła jej wreszcie:

— Przestań-że już raz tak beczeć, bo będziesz wyglądała jak straszdyło!

Słyszac te słowa Joasia, mimo swej rozpacz, wydobyla lusterko z kieszeni i przejrzała się w niem, a widzac swoja napuchnieta twarz, jeszcze zalosniej się rozszlochała.

Staś pod strażą dragona siedział w sieni, nie tyle

zmartwiony, ile gniewny, że zaraz z początkiem wojny dostał się do niewoli. Wiedział jednak, że na zasadzie prawa wojennego nic złego mu nie grozi. Próbował wdać się w rozmowę z pilnującym go żołnierzem. Ten jednak, ordynarne pomorskie chłopisko, nie chciał rozmawiać, zresztą nie rozumiał lichej niemieczyny Stasia. Nie pozwolił mu także wejść do alkierza, gdzie siedziały panie, lecz zagroził mu karabinem.

Podjadłszy i podpiwszy sobie, porucznik Botho von Eulenrode przywołał wachmistrza i kazał sobie do izby przyprowadzić panią Silnicką. Pani Anna z niepokojem uczyniła zadość wezwaniu i poszła za żołnierzem do izby, w której znajdował się pruski oficer. Botho siedział przy stole, na którym stała niedopita druga butelka wina. Czerwona twarz i błyszczące oczy świadczyły, że dobre francuskie wino szumiało mu w głowie.

Na widok wchodzącej pani Anny, za którą wachmistrz drzwi zamknął, zerwał się z siedzenia i rzekł.

— Więc pani z Krakowa jedzie? W samą porę pani wyjechała, bo za kilka dni Skąłton od północy, a my Prusacy od zachodu zbombardujemy tę przekłętą dziurę. Skoro nasz Zeppelin przyjedzie, poznaście, co to znaczy z Prusakami wojować!

Pani Anna milczała.

— A wieleż wojska znajduje się w Krakowie? Pani musi to doskonale wiedzieć, skoro pani dziś dopiero opuściła twierdzę.

Pani Anna nie odpowiadała w dalszym ciągu.

— A czy pani wie, co ją czeka, gdy panią doprowadzę do naszej kwatery głównej? Zostanie pani pierwszym pociągciem odesłana do Berlina, a tam sąd rozprawi się z panią. Tym razem już pani aerobilem nie ucieknie! Zresztą i Prusy budują teraz flotyllę latawców i potrafiłyby skutecznie odeprzeć nowy czyjkolwiek zuchwały zamiar przelatywania nad ziemią niemiecką.

Na te słowa pani Anna uśmiechnęła się i nie mogła się powstrzymać, by ironicznie nie odpowiedzieć.

— O tak! słyszałam już o tych próbach, ale podobno wasze latawce szczególnie groźne są dla waszych inżynierów...

Było to faktem, że usiłowania pruskie, aby na podstawie wykradzionych Silnickiemu planów skonstruować aeromobil, nie były dotychczas uwieńczone powodzeniem. Nie mogąc zastosować akumulatorów do popędu kół wiatrakowych, technicy pruscy użyli motoru benzynowego, który okazał się za słaby i statek wzniósłszy się nieco nad ziemię, opadł i rozbił się, przyczem naczelny inżynier ciężko się poranił. Zaczem na razie zaniechano w Berlinie dalszych prób, zwłaszcza, że wybuchła wojna. Prócz balonów systemu Zeppelina, Parsefala i Grossa i prócz kilku aeroplanów systemu Bleriota i Wrighta, mających tylko sportowe znaczenie, Prusacy nie mieli nic innego do rozporządzenia w dziedzinie awiatyki.

Na ironiczną uwagę p. Anny, młodemu prusakowi gniewem błysnęły oczy.

— No, mniejsza z tem! Latawce są wogóle głup-

stwem. Kogo na ziemi mamy w swoich rękach, tego nie puścimy. A ja panią mam w mocy i może być pani pewna, że jej nie wypuszczę.

Przystępując bliżej i nachylając się ku pani Annie, dodał:

— Chyba, że pani okaże się grzeczną względem mnie, to może znajdziemy sposób, jak uniknąć wydania pani sądowi.

Z tymi słowy porucznik nachylił się i próbował panią Annę objąć wpół.

— Nie zapominaj się pan! zawołała pani Anna, zmierzając ku drzwiom.

Ale porucznik przytrzymał ją za ręką i zawołał:

— Niech pani nie robi śmiesznych ceregieli!

A la guerre comme à la guerre! Bądź pani grzeczną.

I chwyciwszy ją w objęcia, usiłował wycisnąć pocałunek na jej ustach.

Pani Anna, która dzięki sportom i grze w tenisa miała muszkuły dobrze wyrobione, wywinęła się oficerowi z objęć i wymierzyła mu policzek tak silny, że Prusak się zatoczył. Ale w tej chwili z wściekłością znów ku niej przyskoczył i schwyciwszy jej obie ręce, mówił głosem dyszącym od gniewu:

— Za to mi zapłacisz, moja piękna damo!

W tej chwili jednak na gościńcu huknął strzał, a do izby wpadł wachmistrz zdyszany:

— Jakieś dwie gromady ludzi, wojsko i chłopci razem, wyszły z lasu i chcą karczmę osaczyć!

Salwa karabinowych strzałów wtórowała tym słowom.

Porucznik puścił panią Annę, którą wachmistrz zaprowadził znów do alkierza, i dobywszy rewolweru wypadł przed karcznię, zwołując dragonów.

W lesie, o dwieście kroków oddalonym od karczmy, czaili się jacyś ludzie, kryjąc się za drzewami i z lasu gęsta palba z karabinów szła ku karczmie. Dragoni, zamknąwszy bramę karczmy, odpowiadali strzałami z okien. Konie dragońskie, z których kilka było już ranionych kulami, przywiązane do opłotków, wierzgały niespokojnie; kilka koni urwało się i popędziło gościńcem.

Tymczasem wachmistrz, który pobiegł był na strych, aby rozpatrzyć okolicę, wrócił i zaraportował porucznikowi:

— To nie wojsko. To jakaś banda landszturmu! Jedni w szarych mundurach, inni bez mundurów, nie wszyscy mają broń. Prowadzą ich żandarmi. Widziałem wyraźnie czaka z kogucimi piórami, migające wśród drzew.

Porucznik zaśmiał się.

— A dużo tej hołoty?

— Będzie ich ze 60 tu w lesie.

— No to głupstwo! Wypadniemy i rozbijemy ich w puch.

— Ba, kiedy drugą taką bandę widać z daleka na skrócie gościńca, tam gdzie stoi figura przy drodze. Szelmy po cichu przeszły przez las, obeszły nas i zamknęły nam drogę. Nie przejdziemy, bo nas wystrzelają. Brak nam zresztą koni.

— Donnerwetter! — zaklął oficer. A gdzież warta? Co te lajdaki robiły, że nas tak zaskoczono?

— Z jednej strony karczmy wartował Hans Kitze. Tego ustrzelili z lasu. A z drugiej strony stał rudy Schmidt. Ten nie mógł wrócić do karczmy, ale zaciął konia i popędził gościńcem.

— Doskonale! — zawołał oficer. Schmidt miał rozum. Sprowadzi nam tu za godzinę szwadron naszej jazdy.

I porucznik zawołał do dragonów:

— No chłopcy! Tylko dobrze strzelać. Będziemy się przed tą hołotą bronili w karczmie. Za pół godziny Schmidt dojedzie do naszych przednich straży, a za godzinę nadejdzie odsiecz. Nasi dragoni i nasze karabiny maszynowe przepędzą tę tchórzliwą hołotę na cztery wiatry!

I porucznik zarządził obronę.

W karczmie było 28 dragonów, bo jeden zginął na gościńcu, a jeden pojechał po sukurs. Z tych 28 ludzi tylko dwu było lekko rannych. Dragoni zatarasowali wszystkie drzwi i okna karczmy; dziesięciu ludzi weszło na strych, wyrąbało w dachu otwory i stamtąd strzałami razili atakujących.

Ci, lękając się strzałów w otwartem polu, nie wychodzili z lasu, lecz utrzymywali z poza drzew gęsty ogień. Karczma była tylko z dwu stron, z frontu i z jednego boku atakowana; od tyłu bowiem rozciągały się pola, na których atakujący żadnej nie mogliby znaleźć osłony przed strzałami pruskimi.

Strzelanina trwała przez dłuższy czas z bardzo małym skutkiem. Karczma była murowana i ściany jej przedstawiały dostateczną ochronę przed strzałami. Okna były ławami, stołami, pustymi beczkami zatarasowane i z poza tych osłon dragoni raz po raz dawali ognia, gdy tylko w lesie mignął szary mundur austriackiego pospolitaka lub serdak góralski.

Uwięzione panie porucznik kazał z alkierza, z którego okna dragoni strzelali, wyprowadzić do środkowej sieni karczmy, gdzie znajdował się Staś — i tu jeden z dragonów pilnował jeńców.

Przerażenie kobiet nie miało granic. Pani Młodicka z Joasią, tuląc się do siebie, siedziały pod ścianą, drżąc za każdym strzałem. Opodal siadła pani Anna i Staś.

Słyszeli oni oboje, co mówił porucznik — i stracili nadzieję ratunku. Ostatnia placówka austriacka znajdowała się w Myślenicach, oddalonych prawie o 14 kilometrów od miejsca walki, a drobne patrole austriackie wyruszyły z Myślenic na zachód, skąd także nadciągał nieprzyjaciół.

— Karczma jest mocna i dragoni potrafią się długo bronić. Chyba armatami możnaby ich zmusić do poddania się. Ale na ostrzeliwaniu działami właśnie my najgorzejbyśmy wyszli. Biedna moja matka! Nie wiem, jak ona zniesie te wszystkie przejścia!

Na chwilę ucichły strzały; śnać oblegający, znużeni bezowocną strzelaniną, zastanawiali się nad nową taktyką. Dragoni byli weseli i kpili z ataku,

przeświadczeni, że odsiecz lada chwila nadejdzie. Niebawem jednak strzelanina na nowo się zaczęła. Słychać było co chwila wyraźnie łomot kul, uderzających w ścianę karczmy i w barykady drzwi i okien. Widocznie atakujący podeszli już bliżej ku karczmie i z niewielkiej odległości utrzymywali skuteczniejszy ogień. Jeden z dragonów, który stał za barykadą okna, otrzymał kulę w pierś, drugi na strychu, ranny był w rękę.

Sytuacja stawała się dla więźniów coraz niebezpieczniejszą. Znajdowali się oni w sieni, z której wielka brama prowadziła na gościniec, tę bramę dragoni zatarasowali stołami, beczkami i różnymi sprzętami gospodarskimi. Z sieni drewniane schody, podobne raczej do drabiny, wiodły na strych. Brama nie zajmowała całej szerokości frontowej ściany sieni. Szukając osłony przed strzałami, panie wcisnęły się pod ścianę, leżąc prawie na ziemi, były więc zabezpieczone przed kulami. Mimo to pani Anna drżała na myśl, że strzały, dawane z boku, przebiwszy barykadę drzwi, mogą dosięgnąć ich kryjówek. A także od kul, któreby odbiły się od ścian *par ricochet* groziło niebezpieczeństwo.

Pani Anna rozglądała się za jakąś pewną osłoną. W izbach byłoby może bezpieczniej, ale wypełniali je dragoni. Nagle wzrok Stasia padł na znajdującą się obok schodów w podłodze klapę.

— Możebyście się panie schroniły do piwnicy?

Pani Anna zaczęła żołnierza prosić, aby ze względu

na chorą matkę pozwolił im zejść do piwnicy, gdzieby były zabezpieczone przed kulami. Dragon wyszedł na strych i spytał się porucznika, który tam kierował obroną. Porucznik zezwolił, zaczem dragon podniósł klapę i kazał kobietom zejść na dół.

Piwnica była pusta. Dragoni już przedtem dokładnie ją przepatrzyli.

Żyd karczmarz, lękając się nadciągających wojsk nieprzyjacielskich, opróżnił ją z wszystkiego.

Była to piwnica dość obszerna, sklepiona; składała się z dwu komor. Pierwsza zupełnie ciemna, ciasna i niska służyła karczmarzowi zapewne za skład podręczny trunków; stąd drzwi drewniane wiodły do drugiej, obszerniejszej komory, która miała dla wentylacyi dwa wąskie okienka, a raczej otwory, powstałe skutkiem wyjęcia dwu lub trzech cegieł, umieszczone koło werandy karczmy. Przez te otwory wpadało trochę światła do piwnicy.

Tam zeszły trzy panie, a za nimi Staś. Pani Anna scyzorykiem przecięła sznur, krępujący Stasiowi ręce, na co dragon nie zważał.

— Ale ty się wróć na górę, ciebie tam w piwnicy nie potrzeba! — rzekł żołnierz do Stasia, gdy tenże chciał schodzić po schodkach w głąb. Nic ci się nie stanie, choć posiedzisz tu w sieni.

Zaczem Staś, upewniwszy się, że w piwnicy panie są zupełnie zabezpieczone przed kulami, powrócił do sieni i usiadł w kącie pod ścianą, przysłuchując się strzelaninie. Broniący się dragoni strzelali

zrzadka; natomiast atakujący utrzymywali bezustanny ogień. Brama karczmy była już mocno uszkodzona, kule w kilku miejscach strzaskały deski, wyrывая znaczniejsze szpary. Ale dragoni byli najlepszej myśli i Staś słyszał, jak mówili między sobą, że i trzy dni takiej pukaniny szkody im nie wyrządzi.

Za pół godziny zaś nadejdzie odsiecz !

Nagle wzrok Stasia padł na blaszany zbiornik z benzyną, wyniesiony z automobilu. Rezerwoar mieścił w sobie ośm do dziesięciu litrów płynu.

Jakaś dziwna myśl przyszła Stasiowi do głowy, bo nagle zbladł i drżeć zaczął pod wpływem wewnętrznego wzburzenia. Gdyby go ktoś był obserwował, dostrzegłby niewątpliwie walkę sprzecznych uczuć i pracę myśli na twarzy chłopca.

Rozważał widocznie coś bardzo ważnego a niebezpiecznego.

Nie pilnował go nikt; żołnierz, przeznaczony do straży, siedział na progu izby tyłem od Stasia odwrócony i rozmawiał z towarzyszami.

Staś niepostrzeżenie podsunął się do rezerwoaru i niby oglądając go, odkręcił śrubkę, zamykającą otwór. Wąski strumyczek benzyny zaczął wyciekać z rezerwoaru, spływając wzdłuż ściany i rozlewając się coraz szerszą plamą na podłodze sieni, pod schodami, wiodącemi na strych.

Staś wyczekał minutę, poczem blady jak trup i drżący, ale z błyskiem determinacji w oczach, prze-

sunął się bez hałasu ku klapie wiodącej do piwnicy, podniósł ją, zeszedł w głąb i klapę za sobą spuścił.

Dragoni śmiali się i żartowali...

Nagle klapa podniosła się trochę do góry.

W ciemnym pasie ukazała się blada twarz Stasia. W rękę jego zamigotała zapalka woskowa, paląca się żółtawym płomieniem...

Błyskawiczny ruch ręki. Rzut zapalki pod ścianę na podłogę, gdzie coraz szerszą strugą rozlewała się benzyna...

Klapa z hukiem zapadła, Staś widocznie ze schodków zeskoczył w głąb piwnicy.

Równocześnie oślepiający błysk rozjaśnił mroki sieni, głuchy huk dał się słyszeć. Benzyna buchnęła ogromnym płomieniem, eksplodując potężną siłą, zapelniając całą sień morzem ognia.

Rozległy się krzyki przerażenia dragonów w izbach po obu stronach sieni i na strychu. Schody, wiodące na strych, sprzęty, tworzące barykadę bramy zaczęły się palić.

Panicznym strachem przejęci, nie mogąc sobie wytłumaczyć strasznego wypadku, przypisując pożar wybuchowi bomby, dragoni mieli tylko jedną myśl, aby ratować się przed pożarem, który szerzył się z przerażającą siłą. Ci, którzy wraz z porucznikiem byli na strychu, mieli na dół drogę odciętą, więc, aby się ratować, poczęli nie zważając na strzały oblegających wyrąbywać otwór w dachu, aby zeskoczyć na dół i uchronić się przed najstraszniejszą śmiercią

w płomieniach. Ci, którzy w izbach się znajdowali, byli bezpośrednio zagrożeni pożarem, odnieśli już poparzenia i poczęli oknami wyskakiwać.

Tymczasem Staś wpadł do piwnicy i zamknął za sobą drzwi, wiodące do drugiej komory piwnicznej, w której siedziały panie.

— Jezus Marya, co się tam stało? — krzyknęła Joasia.

— Podpaliłem karczmę! — krzyknął Staś. Nie będą mogli dłużej się bronić!

— Coś ty zrobił? Toż my się tu spalimy lub udusimy w dymie!

I Joasia zaczęła przeraźliwie wołać o ratunek, czepiając się kurczowo rąk pani Anny i pani Młodeckiej, która, zmartwiała z przerażenia, siedziała pod ścianą na pustej beczce.

— Przestań wrzeszczeć jak opętana! — krzyknął na nią Staś.

I zwracając się do pani Anny, dodał:

— Nie było innego środka! Nie chciałem kuzynki zostawić w rękach Prusaków! Możem popełnić szaleństwo... Ale nie, jestem pewny, że się wyratujemy! Wyjdziemy przez okno! Kuzynka dopomoże mi w robocie!

Staś trzymał w ręku drąg żelazny i kopaczkę, znaną w piwnicy.

Zepchnąwszy p. Młodecką z beczki, na której siedziała, Staś przysunął beczkę do jednego z okienek piwnicznych, które wychodziło na pole z boku

karczmy. Z gorączkowym pośpiechem, który potęgował strach i rozpacz, jął walić w mur, próbując wyłamać kilka cegieł i powiększyć otwór okienny.

Pani Anna pomagała mu kopaczką w tej robocie. Ale narzędzia były nieodpowiednie i praca postępowała zbyt powoli. Staś truchlał na myśl, że ogień może strawić kłapę piwniczną, a dym wedrze się wówczas w piwnicę...

— Bierz ten drażek! — krzyknął do Joasi, umocuj chustkę na końcu i wysuń go jak możesz najdalej z okna! Zobaczą nas z zewnątrz i pospieszą nam z ratunkiem.

— I wołajmy wszyscy pomocy! — krzyknęła pani Anna.

I wraz z piwnicy dobył się straszny krzyk czterech zamkniętych osób, nad których głowami szalał ogień.

Oblegający karczmę nie wiedzieli zrazu, jak tłomaczyć sobie wyskakiwanie dragonów oknem karczmy. Pierwsi dragoni, którzy ukazali się na polu, padli od kul. Niebawem kłęby dymu, dobywające się z karczmy, ujawniły pożar, srożący się wewnątrz budynku, więc oblegający wyszli z lasu i pobiegli ku karczmie, obstawiając ją z wszystkich stron, nie lękając się już strzałów dragonskich. Byli to górale z Jordanowa, z Komielnnej, Lubienia i Łętowni, razem około stu dwudziestu ludzi, obowiązanych do służby w pospolitem ruszeniu. Część ich miała na sobie stare szare mundury landwery i karabiny Werndla, które po

wszystkich większych posterunkach żandarmeryi są dla pospolitaków na wypadek mobilizacyi złożone.

Prowadziło ten oddział czterech żandarmów i kilku wójtów wsi, a dążyli do Myślenic.

Spotkawszy patrol dragonów pruskich, pospolitacy ukryli się w lesie i byli świadkami napadu na samochód. W góralach rycerska krew zagrała. Postanowili uderzyć na patrol i odbić mu jeńców. Ale karczma była nie do zdobycia — i dragoni mogliby się byli skutecznie w niej bronić, gdyby nie pożar, który zmusił ich do opuszczenia warownej kryjówki.

Z karabinami w ręku górale zbliżyli się zatem na kilkadziesiąt kroków do karczmy, rażąc celnymi strzałami wypadających dragonów. Kilkanaście ciał wałało się już na śniegu pola i błocie gościńca, reszta dragonów krzyczała pardon, powiewając na znak poddania się białymi szmatami. Zaczem górale w tryumfie przypadli i dragonów wiązać poczęli.

Hałas panował nieopisany, a z okien i bramy karczmy buchały wielkie płomienie.

Naraz jeden z żandarmów zobaczył drążek wysunięty z piwnicy z umocowaną chustką i przypomniał sobie o obecności uwięzionych kobiet. Skrzyknął więc kilku górali i podbiegł do okienka, z którego rozbrzmiewał przeraźliwy krzyk kobiety.

— Trza ich ratować! — zawołał żandarm.

Bagnetami, kolbami karabinów, wzięto się do wyrąbywania cegieł.

A była już ostatnia pora po temu, bo płomienie

lizaly już wiązania dachowe, buchały oknami — i za kilka minut gorąco mogło już wzbronić ratującym dostępu do domu.

Wreszcie otwór w murze tak się powiększył, że można było myśleć o wyciąganiu kobiet. Żandarm podał pas od ładownicy i zapomocą tego pasa poczęto wyciągać naprzód panią Młodecką, co wobec tuszy tej osoby nie było wcale łatwym zadaniem.

W ogólnem zamieszaniu, wywołanem akcją ratunkową, za mało uwagi zwrócono na los pozostałych na strychu dragonów. Przeważna część pospolitaków zbiegła się przed okienko, przyglądając się ratowaniu więźniów; nieliczni tylko pozostali na straży po drugiej stronie karczmy, gdzie dragoni z porucznikiem Botho von Eulenrode wyrabali otwór w dachu.

Nagle huknęło tu kilka strzałów, dwóch górali padło na ziemię, a dragoni jeden po drugim poczęli zeskakiwać z dachu i uciekali w pole.

Rozwścieczeni górale puścili się za nimi w pogoń. Dwóch dragonów, którzy w swych ciężkich butach po ugorze zasypnym śniegiem, szybko kiedz nie mogli, dopadnięto natychmiast i kolbami karabinów zmasakrowano. Inni dwaj dragoni i porucznik Eulenrode uciekali jednak dalej, bo porucznik strzałami z rewolweru poranił kilku najbliższych ścigających.

Z dziesięciu górali rzuciło się jednak za Prusakami w pogoń na koniach dragońskich...

Potyczka się skończyła, a buchająca kłębam dymu karczma była świadkiem pogromu Prusaków. Acz

krótka, walka była krwawą. Z 30 dragonów, jednemu udało się zemknąć na początku potyczki, dwaj inni i porucznik uciekali gościńcem, ale nie ulegało prawie wątpliwości, że wpadną w ręce górali; reszta dragonów bądź poległa, bądź odniosła rany i dostała się do niewoli.

Czterech dragonów leżało zabitych przed karczmą. Trzynastu odniosło mniejsze lub większe rany od kul, bagnetów i skutkiem poparzenia.

Gdy pani Anna, jej towarzyszki i Staś, wyciągnięci z piwnicy, stanęli przed karczmą, otoczeni tłumem tryumfujących górali, pani Anna na widok, jaki się nasunął jej oczom, uczuła, że traci spokój i męstwo, jakie ją do tej pory nie opuszczało. Joasi zrobiło się słabo i zakryła sobie oczy... Bo, aby dojść do automobilu, panie musiały przejść koło zwłok jednego dragona, który otrzymał dwa strzały karabinowe w głowę. Czaszka, leżąca w kałuży krwi, była rozłupana — i widać było szarą miazgę mózgu. Jedno oko zabitego było wysadzone, drugie szeroko rozwarte patrzyło upiornie w górę. Śnieg naokoło karczmy, zdeptany tyłoma nogami, zamienił się w błoto, na którem czerwieniły się tu i ówdzie smugi krwi, miesząc się z błotem w rdzawą maź. Czarne kłęby dymu buchały z karczmy, której dach stał już w ogniu. Gęsty śnieg zaczął znowu pruszyć z mrocznego nieba...

— Oto wojna — rzekła pani Anna do Stasia, prowadzącego ślaniającą się panią Młodecką do

automobilu. Oto wojna! Rozpętanie wszystkich złych instynktów w człowieku, krew i pożoga, zniszczenie wszystkiego! Uciekajmy czempredzej z tego miejsca! Ale wprzód pospieszmy z ratunkiem nieszczęsnemu żołnierzowi, który nam towarzyszył.

Feldfebel Pawliczek nie był zabity, ale ciężko ranny. Górale już go znaleźli na polu i próbowali go ocucić. Zaledwo jednak pani Anna, usadowiwszy matkę w samochodzie zeszła z gościńca kilka kroków w pole, salwa strzałów karabinowych kazała jej zatrzymać się. Gościńcem zbliżał się liczniejszy oddział kawaleryi pruskiej, spieszącej na odsiecz swemu patrolowi.

— Uciekajmy! — krzyknęła pani Anna do Stasia, który tymczasem krzątał się koło motoru.

Równocześnie górale i żandarmi na widok nieprzyjaciela, w jednej chwili cofnęli się do lasu, nie troszcząc się więcej ani o rannych, ani o pojmanych i powiązanych więźniów swoich.

Staś puścił w ruch motor i samochód całą chyżością pomknął z powrotem gościńcem ku Myślenicom. Za uciekającymi leciał suchy długi trzask strzałów, odmienny od palby karabinowej. Oddział pruski miał z sobą mitralję, którą ostrzeliwał las.

Po drodze spotkano patrol austriackich ułanów jadących z Myślenic, który zasięgnawszy języka, pospieszył czempredzej dalej w kierunku Pcimia. Dowódca patrolu był zdania, że bocznemi drogami, np. z Myślenic przez Dobczyce, możnaby było jeszcze

przedostać się na południe, ale wystraszone panie nie chciały już słyszeć o dalszem narażaniu się na niebezpieczeństwo spotkania się z placówkami rosyjskimi lub pruskiemi.

— Wracajmy do Krakowa, aby odpocząć po tych strasznych przejściach! Tam będziemy bezpieczni...

I samochód pędził z powrotem, kierując się ku potężnym fortom Krakowa.



Napad na Wieliczkę.

W nocy tegoż samego dnia przednie straże pruskie, ciągnące od zachodu, załyły cały pas ziemi galicyjskiej na południu od Myślenic, a oddziały rosyjskie od Niepołomic posunęły się aż za Dobczyce.

W ten sposób Kraków został ze wszystkich stron osaczony. Nieprzyjaciel obsadził także od południa wszystkie gościńce, wiodące do miasta, odebrał możliwość dowozu i mógł rozpocząć regularne oblężenie twierdzy.

Wszystkie wsi i miasteczka w okolicy Krakowa, znajdujące się poza promieniem działania fortów, znajdowały się już w rękach nieprzyjaciela.

Tylko Wieliczka, strzeżona przez potężny fort w Rajsku, przez fort w Rżące, a zwłaszcza przez fortyfikacye, które inżynierzy wojskowa i artylerya z największym pośpiechem budowały na górze Sierczańskiej, bezpośrednio panującej nad Wieliczką, tylko Wieliczka nie miała, zdawało się, powodu lękać się napadu w pierwszej fazie oblężenia.

Niemniej mieszkańcy salinarnego grodu żyli w ciągłej trwodze i z przerażeniem słuchali codziennie

huku armat, dolatującego z oddali. Kto mógł, opuścił już był zawczasu miasto, chroniąc się do Zakopanego lub na Węgry. Z inteligencji pozostali w Wieliczce sami tylko mężczyźni, przykuci obowiązkami służbowymi do siedziby urzędowej. Dość silna załoga była stacyonowana w mieście, a oddziały piechoty i artylerji konnej zamykały wszystkie gościńce, wiodące do Wieliczki.

Budynki publiczne, jak Muzeum salinarne, Radę powiatową, Turówkę, szkoły i magistrat, zamieniono na szpitale, koszary i magazyny wojskowe. Miasto otrzymało komendanta wojskowego i ogłoszono w niem prawo wojenne.

W dzień bitwy pod Ruszczą, w sali posiedzeń Rady miejskiej na wezwanie burmistrza, zeszli się radni i wybitni obywatele na radę. Nie ulegało już wątpliwości, że Wieliczka dozna także wszystkich okropności wojny, więc obywatele rozmyślali nad sposobem, jakby uchronić dobytek swój przed zniszczeniem. Myśl, którą podobno już w czasie wojen szwedzkich wykonano, znalazła teraz powszechny poklask u zebranych dygnitarzy, mianowicie myśl, aby pieniądze i kosztowności zdeponować i ukryć w salinach. Kierownik salinarny zgodził się na projekt, żądając jeno sporządzenia dokładnego spisu depozytów, i obowiązując wszystkich do zachowania jak najściślejszej tajemnicy. Wyznaczono specjalną komisję, złożoną z notaryusza, starosty, burmistrza, naczelnika sądu, kierownika salin i dwóch radnych miejskich,

która miała zająć się złożeniem depozytów w podziemiach salinarnych. Komisya zaczęła niezwłocznie urzędować i w pierwszym rządzie postanowiono przenieść w bezpieczne ukrycie zapasy kasowe urzędu podatkowego, salin i kas oszczędności, wreszcie i kosztowności, jakie były w posiadaniu honoracyorów miasta. Depozyta te złożono podobno gdzieś w grocie Kryształowej, do której dostęp zamknięto.

Ale rzecz oczywiście w małym mieście nie dała się ukryć. Dowiedzieli się o deponowaniu skarbów różni ubożsi obywatele i poczęli się domagać, aby także ich dobytek był chroniony. Czegóż nie chciano deponować w salinach i jakież walki musiała staczać komisya! Jedna rezolutna wdowa domagała się od burmistrza z wielkim krzykiem, aby przyjął w depozyt jej żywy inwentarz, złożony z dwu świnek, kurcząt i gęsi, które ze względu na ogromną drożyznę środków spożywczych, przedstawiały dla wdowy znaczną wartość.

Inni znowu chcieli meble zwozić i trzeba było sporo energii, aby strwożonym wytłumaczyć, że tylko gotówka i cenne biżuterye mogą być przyjmowane w depozyt.

Tak minęło dni kilka.

Ludność codzień wieczorami spoglądała z ściśnionem sercem na łuny, zjawiające się na niebie i usiłowała z nich odgadnąć, dokąd już nieprzyjaciel zapuścił swe zagony...

Dwa dni po starciu patrolu pruskiego z oddziałem

pospolitaków pod karczmą w Pcimiu, gdy ludzie około północy zgromadzeni na górze koło cmentarza obserwowali łunę palącego się folwarku Brogi i karczmy na Balachówce, rozległy się nagle od strony Lednicy i dobczyckiego gościńca strzały karabinowe, a prawie bezpośrednio po nich wpadł do Wieliczki kilkaset koni kozackich liczący podjazd rosyjski, wzmocniony oddziałem dragonów pruskich.

Dowodził tym oddziałem pułkownik kozacki Agamatow i porucznik Botho von Eulenrode.

Po spaleniu karczmy w Pcimiu, porucznik Eulenrode zdołał ująć pogoni ścigających go górali z pospolitego ruszenia, którzy cofnęli się na widok nadjeżdżającego oddziału dragonów. Między dragonami a pospolitakami wywiązała się walka, w której pospolitacy, ostrzeliwani z karabinu maszynowego, oczywiście placu dotrzymać nie mogli, lecz szybko zrejtrowali do lasu.

Dragoni podjęli swoich rannych, pogrzebali poległych i po krótkim spoczynku ruszyli dalej w kierunku Dobczyc. Tutaj pod wieczór natknęli się na podjazd Agamatowa, który myszkował koło Gdowa w lasach zagórzańskich.

Agamatow, szeroka natura, wsławiony energicznym przeprowadzeniem ekspedycji karnych w Estonii w roku 1906, uganiał się po ziemi galicyjskiej, stanowiąc przednią straż rosyjskiego korpusu, który pod Niepołomicami Wisłę przeszedł.

Spotkawszy się z Prusakami, Kozacy rozłożyli się

obozem. Agamatow, który umiał trochę po niemiecku, zaprzyjaźnił się z porucznikiem Eulenrode i bawił się z nim w karczmie. Nad ranem kozacy złapali żydka handlarza, uciekającego z Wieliczki, którego Agamatow zaczął badać.

Przerażony żyd wyśpiewał wszystko, co się działo w Wieliczce, opowiedział o fortyfikacjach na górze Sierczańskiej, o „skarbach“, złożonych w podziemiach salinarnych i podał cyfrę załogi...

Zaiskrzyły się oczy Agamatowa.

Natychmiast pchnął sztafetę do głównej kwatery w Niepołomicach, oznajmiając, iż powziął plan napadu na Wieliczkę. Projekt zaaprobowano. Agamatow miał 600 koni i dwie półbaterie. Przyłączył się doń Botho von Eulenrode ze stoma dragonami. Umyslili oni wpaść w nocy jak burza do Wieliczki, znieść oddziały trzymające straż nad gościńcem gdowskim, miasto podpalić, i o ile możności zniszczyć roboty koło fortu w Sierczy. Oddziały rozbiły w lesie obóz, przez cały dzień dano wytchnąć koniom i dopiero o godzinie 10 w nocy ruszono wzdłuż gdowsko-wielickiego traktu ku Wieliczce.

Trzymany przez jednego z kozaków na arkanie chłop ze Zręczyc, służył za przewodnika, idąc pieszo koło konia Agamatowa. Gdy oddział zobaczył z góry Tomaszkowickiej światła Wieliczki, kozak puścił przewodnika z arkanu, a Agamatow odprawił chłopca.

— Teraz ty, druh mój najmiłszy — zwrócił się

Agamatow do towarzyszącego mu kapitana Szyszkin, weźmiesz 200 kozaków, a wy, Botho-Ottonowicz, wy przyłączycie się z waszymi dragonami do niego i wpadniecie od południa do miasta. Ja zaś z 300 kozakami od północy zajadę. Stu kozaków i baterię zostawimy tutaj w rezerwie — jak w dole hukną pierwsze strzały, tak nasze puszki zaraz pluną ogniem na fort w Sierczy. Hej! druchy! — sławna to będzie noc!

— Zabawimy się! — dodał Botho von Eulencode.

— Niejeden z tej zabawy nie wróci! — mruknął kapitan Szyszkin.

— Jak komu sądzono! — zawołał pułkownik Agamatow. Co ty druh najmilszy, tak żalobnie kraczesz! Toć żyć na wojnie, a nie umierać! Bić się. No, a jak śmierć matuszka przyjdzie, to i nie żal, boś użył człeku do syta. Tu wojna przyjemna, nie tak, jak było w Mandżuryi. Prawda druh Szyszkin?

Oddziały się sformowały i rozdzieliły; baterya na wzgórzu, dobrze zamaskowana, gotowa była do strzału na pierwszy znak.

Miało się ku północy.

Noc była zupełnie ciemna i mroźna. Wiatr huczał, ziąb przejmował kozaków do kości.

Wieliczka w dole rozłożona spała spokojnie; zrzadka w oknach domów błyszcząły światełka. Na górze Sierczańskiej daleko jaśniały perłowe smugi

światła reflektorów; oddział pionierów pracował tam przy świetle elektrycznem nad ufortyfikowaniem góry.

— Jechać stępo w jaknajwiększej ciszy! — komenderował Agamatow. Ale skoro zobaczym austrijskie straże, wtedy rebiata, galopem na nie! A spiszcie się sławno, gałupczyki!

Nikt w Wieliczce nie przypuszczał tak śmiałego napadu; załoga tamtejsza, z wyjątkiem patrolów na gościńcu spała w swoich koszarach.

Nagle huknęły pierwsze strzały w stronie Czarnochowic, a w tejże chwili z drugiej strony od kościółka św. Sebastyana doleciał podobny odgłos walki; nad miastem zaś zaczęły przelatywać szrapnele, któremi bateria kozacka poczęła ostrzeliwać fortyfikacye Sierczańskie. W ulicach rozległ się stuk kopyt pędzących oddziałów; przeraźliwe, krew w żyłach mrozące krzyki „ura“ kozaków napęłniły całe miasto przerażeniem. Strzały karabinowe i armatnie, głosy komendy, krzyki ura, jęki i płacze kobiet zlewały się w jeden piekielny akord; w dwu punktach miasta buchnęły już płomienie i krwawa luna zaczerwieniła niebo.

Załoga miarkując, że miasto zaatakowane zostało ze wszystkich stron, straciła głowę. Nie wiedziała, jak wielkie są siły nieprzyjaciela i nie wiedziała też, w którą stronę skierować i skoncentrować opór. W ciemnościach nocnych, rozwidnionych tu i ówdzie luną pożarów, wywiązała się bezładna strzelanina.

Na Sierczy w jednej chwili zagasły reflektory, które przedtem przedstawiały doskonały cel dla ba-

teryi rosyjskiej. Piechota i pionierzy w dobrym szyku poczęli z góry schodzić, ale w połowie drogi zostali wstrzymani przez ogień kozaków, próbujących szturmować górę.

W mieście zapanowała panika nieopisana. Kozacy Szyszkina tu i ówdzie wpadali do domów...

Porucznik Botho von Eulenrode nie tylko pragnął walki, on miał większy plan. Słuchając opowieści schwytanego przez kozaków żydka handlarza, zainteresował się niemało owym depozytem, złożonym w podziemiach salinarnych. Jakoż na własną rękę, w sekrecie przed Agamatowem, szczegółowo wy badał więźnia, zasięgając informacji co do składu komisji, mającej czuwać nad depozytem, a specjalnie wywadywał się o nazwiska sztygarów, zatrudnionych przy transporcie depozytu do groty Kryształowej. Hej! Gdyby się tak udało wpaść do miasta, pochwycić burmistrza i kilku górników i kazać sobie wydać zdeponowane sumy! Agamatow miał nadzieję, że kozacy do świtu będą mogli zostać w Wieliczce i dopiero nad ranem skoro z fortów Rżaki i Rajska nadejdzie wojsko austriackie, będą musieli się cofnąć. Ale nawet, gdyby Austriacy prędzej nadciągnęli i kozaków jeszcze w nocy wyparli i z miasta, to przecie i w tym wypadku conajmniej dwu godzin na to było potrzeba, a czyż dwie godziny nie wystarczały na to, aby obstawiony dragonami szyb Rudolfa, zjechać na dół z burmistrzem i z górnikami i pod grozą natychmiastowego rozstrzelania opornych zażądać wydania depozytów?

Mysł ta nurtowała w pruskim oficerze przez cały dzień przed napadem; pragnienie zdobycia wielkiego łupu rozpałiło się w nim z wielką mocą; nie widział już trudności ani niebezpieczeństwa przedsięwzięcia... Wpadłszy na czele dragonów na rynek wielicki przekonał się, że załoga w mieście była słaba, paniką ogarnięta i miasta obronić nie mogła. Więc zamierzył zaryzykować wyprawę.

Dragoni wyłamali bramę jednego z domów i wyciągnęli na ulicę kilku przerażonych, ledwo trochę odzianych mieszkańców.

Przykładając rewolwer do piersi jednego starszego mieszczanina, Botho von Eulenrode huknął nań:

— Prowadź nas do burmistrza!

Nieszczęsny człek, trzęsąc się jak osika, na domiar jeszcze bosy, bo dragoni go wyprowadzili, zanim miał czas wdziać buty, powiodł oddział dragonów ku domowi burmistrza. Ale zbliżając się doń, oficer pruski zauważył kozaków, stojących tam na ulicy.

— Widocznie Szyszkina też miał „interes“ do burmistrza — pomyślał Botho z gniewem.

Nie chciał wtajemniczać Rosyan w zamiar swój, lecz pragnął dokonać wyprawy na własną rękę. Zaczem zawrócił i kazał się poprowadzić ku domostwu sztygara Findlera, który, jak się Botho od żydka dowiedział, mieszkał gdzieś na Lednicy.

Ów sztygar był bowiem jednym z tych, których użyto do sprowadzenia depozytów do Groty Kryształowej.

W Grocie Kryształowej.

Nieszczęsny obywatel, służący za przewodnika, acz nie wiedział, gdzie sztygar mieszka, musiał jeszcze na Lednicę towarzyszyć hufcowi dragonów. Tam Prusacy znowu szturmowali do domów, aby Botho mógł zasięgnąć języka.

Na początku Lednicy stał niewielki domek, własność owego upatrzonego górnika.

Na Lednicy dragoni wpadli znowu do jednego z domów, wywlekli mieszkańców i wypytawali się o owego Findlera. Wskazano im mały domek z ogródkiem przed oknami, w którym mieszkał stary górnik. Dragoni gdzieś znaleźli pochodnię i przy jej świetle oddział posuwał się, aż stanął przed wskazanym domem. Sam Botho zsiadł tutaj z konia i pierwszy wszedł przez wyłamane drzwi domu na czele dragonów do środka, poszukując górnika.

W sieni wysoki, barczysty człowiek z siwymi wąsami, z brodą siwą, liczący pięćdziesiąt kilka lat, zastąpił najeźdźcom drogę.

— Tyś jest Findler? — zawołał porucznik.

— Tak jest, panie oficerze — odpowiedział górnik.

— A więc zaprowadzisz nas natychmiast do szybu Rudolfa, wskażesz nam drogę do Groty Kryształowej i wydasz nam depozyty tam ukryte, które konfiskujemy jako kontrybucję wojenną.

Stary górnik, wysłużony żołnierz, umiał dobrze po niemiecku.

— Panie oficerze — odparł — nie mogę tego uczynić bez nakazu kierownika salin.

— Nie możesz! — krzyknął oficer. Jedynym twoim szefem jestem teraz ja i ostrzegam cię, że za najłżejszy opór, dostaniesz kulą w łeb.

Górnik próbował jeszcze oponować.

— Panie oficerze, ja sam nie znam drogi do depozytów. Miejsce, gdzie zostały umieszczone zna tylko pan nadradca salinarny i burmistrz naszego miasta... Skąd ja, stary górnik...

— Dość tego! — huknął Prusak. Dragoni brać go i jeśli nie poprowadzi, zastrzelić go na miejscu!

I porucznik sam podniósł rewolwer i przyłożył go do skroni stojącego spokojnie sztygara. Na ten widok z izby obok sieni z przeraźliwym krzykiem wybiegła młoda dziewczyna bosa, w bieliźnie, okryta tylko chustką i wyciągając ręce ku Prusakom, krzyczała:

-- Nie zabijajcie mi ojca!

Dziewczyna była bardzo ładna. Chustka zsunęła się jej z pełnych ramion; pod koszulą rysował się wyraźnie bujny biust.

Na widok przystojnej dziewczyny, porucznikowi zaiskrzyły się pożądliwie oczy. I chwytając dziewczynę za rękę, rzekł:

— Nie bój się! Nie krzycz! Nic wam nie grozi, jeśli stary spełni mój rozkaz.

— Ojciec idź! — wołała dziewczyna. Idź z nimi, bo cię zabiją.

— Vorwärts! — komenderował porucznik, popychając rewolwerem starego.

Jakoż górnik pod strażą dragonów wyszedł na gościniec, a za dragonami podążył Botho von Eulenrode.

Ale na progu bramy cofnął się nagle i rzuciwszy dragonom słowo komendy, wrócił się do sieni, zatraskując za sobą drzwi. Widząc to stary górnik, chciał wbiedz za oficerem do domu, ale dragoni, śmiejąc się rubasznie, przytrzymali go.

Z głębi domu rozległ się nagle rozpaczliwy krzyk kobiety. Na ten krzyk sztygar, szarpnąwszy się całą mocą, wydarł się z rąk trzymających go dragonów i byłby wpadł do sieni, gdyby nie uderzenie kolbą karabinu w głowę, które go zamroczyło i powstrzymało. Dragoni oderwali go od drzwi i, dzierżąc go za ręce, wywiedli znów na gościniec, mówiąc doń z kpinami:

— Nie rób piekła, stary! Nie przeszkadzaj porucznikowi, niech się trochę zabawi. Doczekasz się za dziewięć miesięcy pociechy! Porucznik tęgi zuch!

Krzyk w domu zmiłkł nagle, widocznie stłumiony i zduszony brutalną ręką.

Stary górnik stał nieruchomo, wpatrując się straszniemi oczami w zamknięte drzwi. Nie czuł, że skutkiem uderzenia kolbą w głowę, które mu zdarło naskórek, krew kroplami ścieka mu po twarzy.

Pochodnia kopciła i rzucała krwawe błyski.

Stary górnik szeptał imię córki: Zośka, Zośka...

Po chwili drzwi się rozwarły i wyszedł porucznik von Eulenrode z podrapaną twarzą i rozdartym kołnierzem futrzanego kubraka. Widząc go, górnik uczynił ruch, jakby się chciał nań rzucić, ale powstrzymał się w porę i stał nieruchomo, odwracając od swego prześladowcy oczy, w których żarzyła się bezsilna wściekłość.

Botho von Eulenrode siadł na koń i zakomenderował: „Naprzód“!

— No, widzisz stary, sprawa gładko poszła, nie wiele się stało! — żartowali dragoni.

Sztygar wyprostował się z jakąś nagłą determinacją i począł rażno kroczyć obok jadących dragonów.

Wracano z Lednicy do Wieliczki, ku szybowi arcyksięcia Rudolfa. Jeden z płonących koło kościółka św. Sebastjana domów został przez mieszkańców ugaszony, ale w drugim miejscu w pobliżu Rynku, pożar szerzył się i wzrastał gwałtownie i ogromna łuna zaścilała czarny strop niebios nad miastem. Rotowy ogień karabinowy rozlegał się bezustannie na stokach

góry Sierczańskiej, a baterye zionęły szrapnelami, których jaskrawe eksplozje z daleka były widne wśród nocy. Cały podjazd kozacki zaangażowany był w ten starciu nocnem, w którym obie strony walczyły po omacku, nie wiedząc dokładnie, jakimi siłami przeciwnik rozporządza. Porucznik Botho przez chwilę zastanawiał się, czyby nie zaniechać zuchwałego przedsięwzięcia, ale popęd awanturniczy i chęć grabieży przemogły w nim obawy. Łyknął spory haust wódki z manierki, przytroczonej do konia i jechał dalej, aż oddział stanął przed szybem Rudolfa. Teraz Botho podzielił swój oddział; pięćdziesięciu dragonów posłał w sukurs Agamatowowi, a resztę przeznaczył do ochrony wyprawy w podziemi. Trzydziestu dragonów z karabinami w rękach obstawiło szyb dookoła, dwudziestu z porucznikiem na czele weszło do środka budynku, do windy. Sprowadzono tu także sztygara Findlera i kilku trzęsących się, starych urzędników salinarnych. Botho kazał pozapalać wszystkie lampki i latarnie i puścić w ruch maszynę, służącą do popędu windy. Urzędników salinarnych porucznik oddał pod straż wachmistrzowi, zakazując, aby przy najmniejszej próbie oporu ze strony tych funkcyonaryuszy dragoni użyli broni. Sam zaś wraz z pięciu dragonami i sztygarem Findlerem zajął miejsce w windzie i rzekł do sztygara :

— Pamiętaj, że gdybyś zechciał nas zdradzić, i gdybym zauważył, że źle prowadzisz, w tej chwili w łeb ci wypalę. Natomiast bądź pewnym, że cię

hojna nagroda nie minie, jeśli należycie wywiążesz się z zadania. Więc jazda na dół! Prowadź nas! A wy chłopcy, fertig zum Schuss!

Winda zjechała w dół, w czarną czeluść szybu. Porucznik poczuł dreszcz zimny, ale wstyd mu było się cofnąć.

Winda stanęła. Pierwszy wysiadł z niej porucznik z rewolwerem w ręku i pięciu dragonów. Wszyscy mieli latarki w rękach, a jeden z dragonów niósł nadto pochodnię, kilof i drąg stalowy, które mogły się przydać przy wyłamywaniu dostępu do depozytów.

Ciemność zupełna panowała w kopalni. Ani jedna lampka nie rozświecała czarnych czeluści sztolni i komor, bo na czas wojny praca w kopalni, z powodu braku ludzi, prawie zupełnie ustała.

Ta nieprzenikliwa ciemność i bezwzględna cisza, niezmiernym lękiem przytłoczyła dragonów.

Kaganki, które dragoni wnieśli do góry, chcąc oświetlić sobie drogę, mdłym światłem swoim nie rozpraszały ciemności, lecz migotały niby złe oczy potwornych zwierząt, zaczajonych w podziemi.

Dragonii stali przez chwilę w trwożnem milczeniu, spoglądając pytająco na dowódcę. Górnik Findler, opuściwszy w dół latarkę, oczy wbiwszy w ziemię, ponury, nieruchomy, oczekiwał rozkazu.

— W drogę! — zakomenderował porucznik. A pamiętaj, że przy pierwszym podejrzanym ruchu, przy pierwszej próbie ucieczki daję ognia. Wywiadywałem

się o drogę i wiem, że najdalej za pół godziny mamy stanąć na miejscu. Nie próbuj przeto żadnych sztuczek, lecz najkrótszą drogą wiedz nas ku Grocie Kryształowej!

Sztygar bez słowa odpowiedzi ruszył naprzód; tuż za nim kroczył porucznik, z rewolwerem gotowym do strzału, dotykając niemal pleców przewodnika; za porucznikiem szli dragoni, dwu w pierwszym, trzech w drugim szeregu. Czterech oburącz trzymało przed sobą karabiny, piąty dragon niósł pochodnie i przybory do wyłamania kasy.

Żaden z tych Niemców nie znał podziemi wielkich i nie miał pojęcia o ich ogromie.

Kroczyli wszyscy w milczeniu przez kilka minut, a w miarę, jak się zagłębiali w czeluść podziemną, w czarne tunele sztolni, obudowane grubemi palami, czuli, że ich paniczny strach ogarnia. Zmiarkował to porucznik, bo gdy oddział, przeszedłszy długi korytarz sztolni, znalazł się pod sklepieniem olbrzymiej komory, kazał żołnierzom przystanąć i zapalić pochodnię, aby przecieź nieco rozwidnić te grobowe ciemności.

Ale jaskrawy płomień żagwi spotęgował tylko wrażenie grozy, jaką zionęła olbrzymia komora, w której kroki głucho dudniły, gubiąc się bez echa, jak w pustce bezmiernej.

I znowu wązką sztolnią, z której belkowania słona wilgoć niby lży kapąła, posuwano się dalej.

Po schodach zstępowano na niższy poziom, przebywano dalsze sztolnie i komory, droga stawała się

uciażliwszą, korytarze ciaśniejsze, w niektórych przejściach trzeba było głowę nisko schylać, aby nie uderzyć o potężne okrągłaki, podtrzymujące strop. Pod naporem soli tu i ówdzie grube pale były wygięte lub skruszone, jak żdźbła.

— Gdzie ty nas prowadzisz? — pytał zaniepokojony porucznik. Co to za droga? Ja wiem doskonale, że w kopalni wszędzie dostęp jest łatwy i korytarze wygodne.

— Tak, — mruknął górnik, ale tak jest w miejscach, gdzie się wiedzie turystów, ale nie tam, gdzie się sól wydobywa.

Po kilku minutach marszu oddział dostał się do wykutej w szczerej soli, dość obszernej komory.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł sztygar. Oto Grota Kryształowa.

Światło pochodni padło na ściany komory, połyskujące białawo-zielonawymi kryształami soli szybikowej.

— Gdzie depozyty?... — krzyknął porucznik.

— Depozyty znajdują się w bocznej sztolni, prowadzącej kilkanaście metrów w głąb.

— Pokaż, gdzie to? — rzekł porucznik.

Sztygar wskazał ręką na ciemny, ciasny otwór sztolni, belkami obudowany.

— Prowadź! — rzekł porucznik.

Górnik pochylił się i znikł w ciemnej szyji korytarza. Dno tej sztolni było błotniste wskutek wody, która kropelkami ściekała ze sklepienia. Korytarz był tak

ciasny, że dwu ludzi tylko koło siebie postępować mogło. Powietrze było tu duszne i zatęchłe.

Posuwano się tak z dziesięć metrów; wreszcie górnik stanął. Korytarz zamknięty był tutaj ścianą, utworzoną z grubych pali i desek. Na ścianie widniały pieczęcie.

— To tu — rzekł sztygar. Za tą ścianą jest kasa i skrzynie.

— Otwieraj! — rzekł porucznik.

— Nie można — rzekł górnik — trzeba wybić ścianę.

— Dawajcie siekierę.

Postawiwszy kaganki na ziemi, czterech dragonów wzięło się do wyłamywania ściany. Po kilku uderzeniach siekiery pękła jedna z desek, w szparę wtknięto łom żelazny i niebawem w ścianie, zamykającej sztolnię, wylupany został otwór, którym wygodnie można było wejść do skarbcza.

Sztolnia tu się rozszerzała i kończyła, tworząc jaskinię pięć metrów długą i szeroką, o ścianach ze ślicznej, krystalicznej soli.

Stał tam jakiś sprzęt w rodzaju szafki, okryty grubem płótnem workowem, oraz drewniana wielka skrzynia, okuta blachą, która już skutkiem kilkodniowego pobytu w wilgotnej słonej atmosferze rdzą się pokryła.

— Co to takiego? — spytał porucznik, wskazując na ów sprzęt, owinięty szczelnie płótnem.

— To kasa — mruknął sztygar.

Widząc się u celu wyprawy, Prusak rozradował się. Oczy mu błysnęły drapieżnie, poklepał górnika po plecach i rzekł:

— No, dobrześ się spisał stary! Dostaniesz nagrodę! A wiesz, co się mieści w kasie i w tej skrzyni?

— W kasie jest gotówka i różne dokumenty. W skrzyni złożono klejnoty i inne depozyty,

Porucznik silnem szarpnięciem zdarł płótno, osłaniające wertheimowską kasę.

— Trzebaby naprzód rozbić kasę — rzekł do żołnierzy. Za ciężka ona, abyśmy ją mogli taki kawał drogi przenieść.

Dragoni spoglądali bezradnie na kasę. Była to niewielka, starego systemu kasa, umieszczona na drewnianym postumencie.

— Siekierą trudno będzie dać jej radę — zauważył jeden z żołnierzy.

— Spróbujcie dać kilka strzałów do zamku! Może puszczą, tak, że będziemy mogli potem łomem łatwo podważyć drzwi.

— Nie radzę tu strzelać! — mruknął sztygar. Komora słabo jest podstemplowana, skutkiem huku mogłoby zawalić się sklepienie.

Porucznik spojrzał nań niedowierzająco, a następnie na powalę komory, którą podtrzymywało kilka grubych belek.

— Ej stary, ty coś kręcisz. Tobie pewno żal tych pieniędzy.

 Górnik wzruszył ramionami.

— Spojrz pan jeno, — rzekł do porucznika, pokazując palcem w górę.

Gruba belka, podtrzymująca strop, była lekko wygięta skutkiem ciężającej na niej masy ziemi mięszanej z bryłami soli.

— Strop mógłby runąć skutkiem zbyt silnego wstrząśnienia.

— Ano, to będziemy musieli kasę przenieść w bezpieczniejsze miejsce i tam próbować ją rozbić. Ej, żebyśmy mieli patron dynamitowy! A może wy tu macie na dole skład dynamitu?

— Nie, — rzekł górnik. — Dynamit można teraz tylko w zarządzie dostać.

— Spróbujemy przynajmniej tutaj otworzyć skrzynię, — rzekł porucznik. — No chłopcy bierzcie się do roboty!

Dragoni podeszli do skrzyni odsunęli ją od ściany i poczęli oglądać jej okucia.

— Trzebaby odbić zawiasy, to potem będzie można łatwo wieko podważyć.

Jakoż jeden z dragonów siekierą jął odbijać zawiasy, drugi pomagał mu żelaznym łomem. Po kilku minutach tej roboty pękły zawiasy, a wieko skrzyni zostało podważone i zerwane.

Porucznik, a za nim wszyscy dragoni nachylili się nad skrzynią, ciekawi skarbów, jakie zawiera. W skrzyni leżały ułożone w porządku pudełka i skrzynki obwiązane sznurkami i opieczętowane.

Porucznik kolbą rewolweru rozbił jedną skrzy-

neczkę. Wysypały się z niej pierścionki, złote kubki, bransoletki itp. Dragonom zaświeciły się oczy.

Oficer z lekceważeniem machnął ręką.

— Dużo śmieci w tem wszystkim! Niepodobna się tem obławowywać. Nuże chłopcy, rozbijcie mi resztę skrzynek, wybierzemy najcenniejsze przedmioty.

Dragoni nie dali sobie tego dwa razy powtarzać. Wszyscy wzięli się z zapalem do tej roboty i składowali kosztowności na rozpostartej płachcie płótna, zdarłego z kasy, nie zapominając także o własnych kieszeniach. Tylko dragon, który trzymał pochodnię, nie mógł uczestniczyć w rabunku.

Stary sztygar, który dziwnym wzrokiem przyglądał się tej scenie, rzekł nagle do wartownika:

— Daj mi pochodnię! Ja wam poświęcę.

Dragon spojrzał pytająco na porucznika. Ten skinął głową.

— Dobrze, pomagaj stary, a i tobie coś kapnie do kieszeni. Stań sobie jeno tu pod ścianą, żebyśmy cię na oku mieli.

Górnik spełnił posłusznie rozkaz. W prawą rękę ujął pochodnię i zbliżywszy się do skrzyni przyświecał rabującym prusakom, którzy, nagleni przez oficera, zwijali się prędko.

Oczy starego sztygara rozszerzyły się, usta miał w pół otwarte, oddychał ciężko. Pochodnia drżała mu w prawej ręce, lewą zaś rękę powoli wsunął do kieszeni i wydobył z niej niepostrzeżenie niewielką

podłużną rurkę metalową w kształcie cygara, zakończonego rodzajem sznurka.

Był to patron dynamitowy, opatrzony lontem.

Górnik podniósł rękę do ust i odgryzł zębami lont tuż przy samej osadzie.

Gdyby go był ktoś obserwował, widziałby, jak stary drżał na całym ciele, widocznie ważąc jakąś straszną myśl. Ale dragoni mieli tylko oczy dla rabowanych kosztowności.

Nagle sztygar podniósł dłoń ku pochodni i koniec patronu potrzymał przez sekundę w ogniu żagwi, poczem z chrapliwym, nieludzkim krzykiem rzucił patron między głowy dragonów, nachylonych nad skrzynią, sam zaś w tej samej chwili pochodnią zająchał w twarz dragonowi, który mu zastępował drogę, obalił go i skoczył, a raczej runął, ku wyjściu z komory. Nie zdołał jednak przebyć ściany z desek, zamykającej komorę, lecz padł, niktąc połową korpusu w ciemnym otworze sztolni. Równocześnie potężna eksplozja wstrząsnęła komorą, a w ślad za wybuchem dał się słyszeć głuchy łoskot walących się brył. Gęsty dym i kurz wypełnił ciasną przestrzeń.

Rozpacźliwe jęki odezwały się ze stosu rumowiska, jakie przywaliło ludzi oraz skrzynię. Kaganki pogasły, paliła się tylko rzucona na ziemię pochodnia, na pół przyduszona bryłami solnemi.

W ciemności podniosła się jedna postać, kierując się ku tlejącej pochodni. Był to porucznik Botho

von Eulenrode. Stał on opodal skrzyni i eksplozja dynamitu jego nie dosięgła. Został tylko ogłuszony i ugodzony w głowę walącą się belką. Brnąć przez rumowisko, wypełniające warstwą na kilka centymetrów wysoką warstwą dno komory, porucznik napół oślepiły od dymu, kurzu i krwi, która mu zalewała oczy, usiłował dosięgnąć zbawczego światła pochodni — i głośno nawoływał dragonów, z których żaden mu nie odpowiadał.

W tem, gdy pochylony nad rumowiskiem usiłował wydobyć pochodnię, podniosła się inna wysoka, chuda postać, leżąca u wejścia do sztolni, postać skrwawiona, straszna, z której gardła wydobywało się chrapliwe rżęzenie.

Stary sztygar również nie ucierpiał skutkiem wybuchu i tylko próbując umknąć rozdarł sobie policzek, o ostry kant wystającej deski. Ogłuszony uderzeniem, obsypany rumowiskiem, podniósł się po kilku sekundach z ziemi, i patrzył jakie skutki wywarł jego zamach. W świetle pochodni ujrzał oficera, który shańbił mu córkę, i oto skoczył nań, jak ryś na swoją ofiarę. Żyłastemi rękami, które tyle lat kruszyły skałę solną, ścisnął wroga za gardło, zdusił go, obalił na wznak i klęcząc mu na brzuchu gniótł mu krtań, jak żelaznemi kleszczami. Porucznik, oszołomiony, nie próbował nawet oporu i wyprężywszy się kilkakrotnie kurczowo całym ciałem, stracił przytomność....

Pochodnia gasła zwolna i komorę zaległa ciemność zupełna.

Wreszcie stary sztygar powstał i ciężko dysząc podszedł ku pochodni, podjął ją i rozdmuchał płomień żagwi. Znowu płomień buchnął i sztygar nachylił się nad ciałem zduszonego wroga, świecąc mu w twarz.

Porucznik leżał martwy; siność twarzy i wysadzone oczy świadczyły, że niema w nim isierki życia. Stary górnik patrzył nań przekrwionemi obłędniemi oczyma i syknął:

— Masz za córkę, łotrze.

Poczem nie troszcząc się o dragonów, którzy, jak słabe jęki świadczyły, nie wszyscy zginęli, z pochodnią w rękę skierował się ku wyjściu sztolni, uchodząc z tej komory śmierci.

Na powierzchni ziemi tymczasem huk armat i łoskot strzałów karabinowych wzrastał się z każdą chwilą. Znowu kilka domów w Wieliczce zajęło się ogniem od pękających szrapneli i pożar szerzył się gwałtownie, niszcząc nieszczęsne miasto. Szukając ochrony przed strzałami, ludność Wieliczki chowała się do piwnic. Kobiety i dzieci z histerycznym płaczem błagały Boga, aby odwrócił zagładę miasta.

Pułkownik Agamatow przerachował się. Z fortów w Rajsku i Rżące silne oddziały piechoty maszerowały z karabinami maszynowymi ku Wieliczce; wysłano również dwie baterie polne i dwa automobile pancerne z działami szybkostrzelnymi. Na odgłos tej walki z Niepołomic gościńcem waliła kawa-

lerya rosyjska i artylerya — i w cieniach nocy wywiązała się w kotlinie wielickiej wielka bitwa.

Kozacy Agamatowa zdziesiątkowani, musieli się cofnąć; kapitan Szyszkina padł, Agamatow sam był ranny od kuli karabinowej. Pruscy dragoni, stojący koło szybu arcyksięcia Rudolfa, widząc co się święci, pierzchli w kierunku Lednicy, nie troszcząc się o los dowódcy i towarzyszy, którzy niebacznie zapuścili się w podziemia salinarne.

Zaczęło świtać.

Z leniwym, osowiałym brzaskiem mglistego mroźnego październikowego ranka walka rozwinęła się na dobre. Rosyjski dowódzca, który przywiódł posiłki z pod Niepołomic, postanowił skorzystać ze sposobności, aby zniszczyć fortyfikacje na Sierczy i zająć pozycję na przeciwnych wzgórzach, ściągając więc coraz więcej artyleryi i zasypywał okolice Wieliczki gradem szrapneli. Huk dział złął się w jeden przeciągły łoskot. Austriackie baterie na górze Sierczańskiej walenie odpowiadały; z fortów w Rajsku, Rżące, i z obozu pod Podgórzem dyrygowano coraz nowe kompanie piechoty ku obronie ważnej pozycji nad Wielicką. Ciężkie działa na Sierczy ryczały niby wściekłe piekielne potwory, zionąc ze swych gardzieli 15 centymetrowymi pociskami. Wyraźnie było widać, gdzie taki pocisk ugodził, bo słup dymu i kurzu wysoko się wzbijał na miejscu eksplozyi.

Małe szybkostrzelne haubice raz po raz, bez przerwy, dawały ognia; automobile pancerne, od nie-

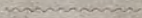
dawna dopiero w armii austriackiej zaprowadzone, pędziły po gościńcu i strzelały na bliską metę, odjeżdżając następnie w bezpieczniejsze miejsca.

Około godziny 10-tej atak rosyjski na Sierczę był odparty. Siły rosyjskie zostały zmuszone do odwrotu, ale zajęły pozycję na wzgórzach naprzeciw Wieliczki i poczęły po południu na te wzgórza wciągać ciężkie działa oblężnicze w celu ostrzeliwania fortów w Rajsku i w Rżące....

Długo jeszcze, do późnego wieczora, unosiły się nad nieszczęsną Wieliczką kłęby dymu. Połowa miasta w perzynę lub w gruzy została obrócona, a wśród ruin z jękiem i zawodzeniem błakali się zrozpaczeni mieszkańcy. Około stu mężczyzn, kobiet i dzieci w mieście padło ofiarą pocisków; wielu uciekło w obłędnym strachu pod osłonę fortów, ale ich z powrotem odesłano.

Z Podgórze wysłano do Wieliczki oddział pionierów, który dla bezdomnych zbudował baraki.

Sztygar Findler wyszedł z podziemia, gdy już nieprzyjaciela nie było w Wieliczce. W domu swoim nie zastał córki; biedną dziewczyną zaopiekowała się ciotka, mieszkająca opodal. Dopiero późnym wieczorem, po ukończeniu walki, górnicy zeszli do salin, aby zbadać co się stało z dragonami w grocie Kryształowej. Znaleziono dwu dragonów jeszcze żywych i wyprowadzono ich na powierzchnię ziemi, reszta zginęła skutkiem eksplozyi pod gruzami sklepienia.



W oblężonem mieście.

Żelazny pierścień wojska, opasujący Kraków, zwarł się. Rozpoczęło się regularne oblężenie twierdzy krakowskiej. Kanonada naokoło miasta trwała całymi dniami; tylko od południowo-zachodniej strony, gdzie niewielki korpus pruski rozłożył się obozem, w pierwszych dniach oblężenia atak nie był prowadzony gwałtownie. Prusacy wzięli się bardzo systematycznie do dzieła, doskonale ufortyfikowali swe pozycje i — jak w Krakowie dzięki wypuszczonemu balonowi *captif* zauważono, jęli budować wielką halę.

W twierdzy domyślano się, że ten pawilon służyć ma na pomieszczenie balonu Zeppelina, którego Prusacy chcieli użyć do bombardowania z góry fortyfikacyj krakowskich.

Równocześnie dwie armie pruskie wkraczały, jedna doliną Łaby do Czech, druga ciągnęła przez Śląsk — i za kilkanaście dni można się było spodziewać walnego starcia z siłami austriackimi. A wielka armia rosyjska zbierała się w Królestwie Polskiem, zagrażając Lwowowi. Na Bałkanie bandy serbskie i czarno-

górskie zapuszczały zagony coraz głębiej i coraz śmiej w kraj Bośni i Hercegowiny...

Pani Anna Silnicka, wróciwszy do Krakowa, spełniła życzenie swej ciotki i przeniosła się wraz z matką do mieszkania państwa Świerkowskich przy ulicy Grodzkiej.

W mieście, pozbawionem zupełnie komunikacyi z resztą świata, ludność pędziła życie w najwyższem zdenerwowaniu i niepokoju. Ufano wprawdzie powszechnie, że potężne fortyfikacye twierdzy oprą się atakom oblężniczej armii rosyjskiej, ale lękano się bardzo o wynik kampanii na czesko-morawskim teatrze wojny. Niemałą panikę w mieście wywołała wieść, że pomocniczy korpus pruski zamierza sprowadzić balon Zeppelina w celu bombardowania miasta. Wśród popółstwa krążyły na ten temat najdziwaczniejsze pogłoski i panowały przesadne obawy, których nie było sposobu rozprószyć. Znany system austriacki, usiłujący zawsze zatajać sprawy wojskowe, które stanowią przedmiot dyskusyi, osłaniający ścisłą tajemnicą zarządzenia militarne, ujawnił się tu znowu w całej pełni.

Jeden jedyny zbiorowy dziennik w Krakowie, wychodzący pod surową cenzurą wojskową, nie mógł ani słowem wspominać o ruchach wojsk, o potyczkach, o robotach ziemnych i t. p., a wskutek tego publiczność nie była należycie o niczem poinformowana, urzędowym, suchym komunikatom komendy twierdzy nie dawała wiary, a wśród masy popółstwa lada

plotka znajdowała natychmiastowy oddźwięk, szerząc panikę. Już w pierwszych dniach nastrój trwogi zapanaował w mieście. Zaraz z początku oblężenia na mocy prawa wojennego i werdyktu sądów doraźnych, wykonano kilka wyroków śmierci na rabusiach i burzycielach porządku. Rzuciło to postrach na ludność i w mieście odtąd panowały porządek i trwożliwa cisza. Lokale publiczne były z wyjątkiem kilku o godzinie 8-ej zamykane. Wieczorami nikt z domu nie wychodził. Tylko na głównych ulicach świeciły się rzadka latarnie, bo węgla było w mieście mało i gazownia wstrzymała prawie zupełnie produkcję gazu. Natychmiast po zamknięciu dowozu od południa, ceny środków żywności podskoczyły gwałtownie. I tak np. za jajo płacono 15 centów. Nie pomogły zarządzenia komisji prowiantowej; kupcy i sklepikarze wprost nie chcieli sprzedawać towarów po tanich cenach, wymawiając się brakiem zapasów.

Ktoby, nie wiedząc o oblężeniu twierdzy, znalazł się był w tym czasie nagle w południe na Rynku krakowskim, nie zmiarkowałby pewno w pierwszej chwili, że o milę od linii A-B toczą się zapasy potężnych armii. Ale niebawem zdumiałby się, czemu wśród spacerującej po linii A-B publiczności tak mało widać mężczyzn, czemu nie kursują doróżki i tramwaje...

Znikli gdzieś eleganccy panowie, szlifujący bruki, znikła rzesza akademików i oficerów, wystających przed Hawełką. Tylko kobiety, dzieci, starzy ludzie

i roje młodzieży gimnazyalnej, mającej ferye, snuły się po promenadzie. A przez miasto często jechały wolno furgony wojskowe, wioząc zapasy do fortów, lub przewoząc rannych, których liczba zwiększała się z dniem każdym. Szpitale na Wawelu i w szkołach miejskich zapełniały się szybko.

W dzień na rynku nie było słyszeć huku dział, ale wśród ciszy nocnej ci, co mieszkali na krańcach miasta, nieraz otwierali okna, wsłuchując się w dalekie grómy oblężniczych bateryj — a łuny na widnokręgu znamionowały postęp atakujących szeregów.

Pani Świerkowska truchlała o życie Stasia, który z całą kompanią podobnych doń młodziutkich żołnierzyków odkomenderowany został gdzieś za miasto do sypania szańców. Pani Anna, która, gdyby nie wzgląd na matkę, byłaby mimo przygody w karczmie w Pcimiu nie zawróciła z drogi i próbowała się wydostać poza kordon wojsk rosyjskich, jedna nie traciła otuchy, w przeświadczeniu, że twierdza oprze się zwycięzko atakom. Ale po kilkunastu dniach oblężenia i ją ogarnął niepokój.

— Co dziś zrobić na kolację? — zapytała kucharka zapłakaną panią Świerkowską.

Cała rodzina państwa Świerkowskich wraz z panią Anną i jej matką mieściła się w trzech pokojach celem zaoszczędzenia węgla, którego w piwnicy było mało, a którego od handlarzy już kupić nie było można. W połowie października nastały takie mrozy,

że trzeba było dobrze mieszkanie opalać, wszystkie zaś zapasy węgla w mieście zajęła wojskowość, która potrzebowała ogromnych ilości opału w szpitalach, barakach i fortach i ludności tylko skąpe racje wydawała. Już teraz z początkiem zimy, po niespełna miesięcznem oblężeniu miasta, dawał się uboższej ludności odczuwać brak środków opałowych; władze wojskowe nie zarządziły wprowadzić jeszcze wycięcia drzew plantacyjnych, co odkładano na wypadek ostatecznej potrzeby, ale co noc można było słyszeć na plantach trzask łamanych gałęzi, które „andrusy“ zanosili do domu lub sprzedawali w wiązках po przedmieściach.

Pani radczyni Świerkowska z Joasią i z panią Młodecką siedziały w ciemnym pokoju, bo i lampy ze względów oszczędnościowych również nie rychło zapalano. Pani Świerkowska była od kilku dni bardzo przygnębiona i spędzała całe dni po kościołach, przejęta trwogą o los syna.

Od tygodnia już go nie widziała i pozbawiona była wiadomości o nim, albowiem kompania 13 pułku, w której Staś służył, została wyprowadzona z miasta i przeznaczona do robót ziemnych między fortami w Toniach, a w Węgrzcach. Była to pono niebezpieczna pozycja, bo tu, od strony północnej, skierowany był najsilniejszy atak rosyjski i kanonada rozbrzmiewała tu przez dzień i noc. Kto stanął na moście nad torem kolejowym przed warszawską rogatką, mógł wyraźnie słyszeć huk niemilkących olbrzymich

dział oblężniczych. Pani Świerkowska, wiedząc, że syn znajduje się o pół mili w barakach, narażony na mróz, może głód i druzgoczące pociski ekrazytowe dział rosyjskich, przerażona strasznymi wieściami o postępach oblężenia, któremi kierował faktycznie sztab pruski, nie zaznała spokoju i lamentowała całymi dniami, mając cierpliwą współczującą słuchaczkę w pani Młoddeckiej i w płaksiwej Joasi. Energiczna pani Anna, którą drażniły te przedwczesne biadania i którą męczyła przymusowa bezczynność, siedziała w swoim pokoju i zajmowała się lekturą. Pięć tygodni już minęło, odkąd otrzymała ostatni telegram od męża — a któż mógł zaręczyć, czy jeszcze miesiące, pełne niedoli i trwogi nie upłyną, zanim nadejdzie oswobodzenie?

— Proszę pani, co zrobić na kolację? — powtórzyła kucharka, nie doczekawszy się na pierwsze pytanie odpowiedzi.

— Zrób, co chcesz; może kaszę ze słoniną — odpowiedziała pani Świerkowska, odejmując chustkę od zapłakanych oczu.

— Znowu kaszę! Pan już wczoraj nie chciał jej jeść — odpowiedziała stara kucharka. Pani teraz o niczem nie myśli, tylko płacze, a to przecie nie zdrowo i nic się takiego nie stało, żeby trzą ciągle płakać. A jak ja dziś znowu kaszę ugotuję, to nasz pan do ust jej nie weźmie i pójdzie do Hawelki.

Hawelka ze względu na potrzeby oficerów, którzy nieraz w nocy do miasta przybywali, posiadał wyją-

tkowe prawo nie zamykania lokalu do godziny 11-tej. Jakoż zbierało się tam co wieczora grono zażywnych obywateli, z których większość piastowała godności w pospolitem ruszeniu. Brakło wprawdzie ku strapieniu piwoszów piwa beczkowego, ale wódka i wino płynęły strugami.

— I kaszy nie starczy — ciągnęła dalej kucharka — kiej pani każe furt kasze podawać na stół. Mamy już tylko pół worka w spiżarni, a co będzie później?

— No, to zrób łazanki z szynką. Pan lubi łazanki... Kup szynki ćwierć kilo.

— To niech mi pani da pieniądze. O, trzy korony to za mało; trza będzie ze cztery korony. Teraz szynka strasznie droga i codzień drożeje. I nie dostanę jej nigdzie tylko u Satałackiego i Bialika na Floryańskiej. Oni jedni porobili takie zapasy, że jeszcze szynkę mają na sprzedaż, ale też każą sobie za nią płacić!

Pani Świerkowska, dając kucharce pieniądze, westchnęła:

— Boże, Boże, co to będzie, jeżeli obłożenie jeszcze długo potrwa! Już teraz nie można się dokupić niczego — a co to będzie dopiero w listopadzie lub grudniu?

Nadejście p. Świerkowskiego przerwało potok utyskiwań gospodarskich pani domu. Radca, były oficer, przydzielony został do służby na dworcu kolejowym w Krakowie. Był to posterunek ważny i od-

powiedzialny, wymagający stałej czynności. Stąd dyrygowano ustawiczne transporty prowiantów i amunicyi do fortów i redut pod Krakowem, tu nadchodziły po większych potyczkach pociągi z rannymi, stąd odjeżdżały ciągle oddziały piechoty, tędy przewożono ciężkie działa. Puls życia oblężonej twierdzy bił tutaj dzień i noc gorączkowem tempem i — gdy całe miasto tonęło w ciemnościach, dworzec jaśniał jeszcze perłowym blaskiem lamp elektrycznych. Tu także otrzymywano najwcześniejsze wiadomości o postępach oblężenia i wynikach potyczek, o ruchach wojsk; stąd także od pracującej służby kolejowej rozchodziły się na miasto różne wieści, oparte na rozmaitych kombinacjach.

Tego wieczora pan Świerkowski przybył do domu wielce wzburzony. Zwykle, skoro rodzina zasiadała do stołu, p. Świerkowski opowiadał nowiny zebrane w ciągu dnia, tym razem jednak milczał przygnębiony i skłopotany. Ten jego niepokój nie uszedł oczywiście uwagi obecnych.

— Mówże, co się stało? — nalegała żona. Czy masz broń Boże złe wiadomości od Stasia?

— Co to, to nie, uspokój się. Dzisiaj na północnej linii był względny spokój i nie doniesiono o żadnem większem starciu koło Toń i Węgrzec.

— Nadeszły więc jakieś inne złe wiadomości? zapytała pani Anna. Czy odbyła się może już bitwa na czeskim teatrze wojny?

— Nic takiego, odpowiedział radca. Zdarzyło

się jednak coś fatalnego, co nam tu w Krakowie grozi bezpośredniem niebezpieczeństwem. Nie chciałem was niepokoić, ale skoro nalegacie, powiem wam wszystko; zresztą i tak jutro będzie o tem całe miasto mówiło. Oto popołudniu na dworcu opowiadał pułkownik Kammer, że Prusacy przed kilku dniami sprowadzili już balon Zeppelina. Balon przybył do głównej kwatery pruskiej pod Czernichowem, i jak stwierdzono za pomocą obserwacyi z naszych balonów captifs, aeronautyczny oddział pruski czyni wielkie przygotowania do wzlotu. Nasi oficerzy sądzą, że może już dziś w nocy doczekamy się wizyty Zeppelina nad Krakowem, i obawiają się tego bardzo. Lękają się, aby załoga nasza nie uległa demoralizacyi na skutek bomb rzucanych z balonu....

— Jezus Marya! będą rzucali bomby na miasto?

— Na miasto i na fortyfikacye, gdzie się zdarzy. Na miasto również, bo Prusakom chodzi o to, aby siać przerażenie i twierdzę możliwie szybko zmusić do poddania się. Widocznie ani na czeskim, ani na wschodnio-galicyjskim terenie szczęście nie bardzo sprzyja nieprzyjaciółom, skoro tak forsownie uderzają na Kraków. Prusacy i Rosyanie koniecznie chcą złamać opór tej warowni, która zagraża ich armiom na terenie śląsko-morawskim i na galicyjskim.

— Ależ to niemożliwe, żeby rzucano bomby na bezbronne miasto!

— Na wojnie wszystko jest możliwe, a wzburzenie paniki w samem *noyau* twierdzy uważane

bywa przez nieprzyjaciela za bardzo pożądane. Kto zresztą obliczy, gdzie padnie bomba, rzucona z balonu w nocy!

— Dlaczego w nocy?

— W dzień balon nie może się pokazywać nad twierdzą. Byłoby to zbyt niebezpieczne, wszędzie bowiem w fortach mamy specjalne działa, z których można balon ostrzeliwać. Ale w nocy nikt się nie dopatrzy latawca, szybującego w wysokości kilkuset metrów nad miastem.

— To byłoby okropne! Ja przecie nie mogę uwierzyć, żeby kto mógł z zimną krwią na bezbronne miasto rzucać straszne pociski.

— A jednak wojskowość liczy się z tem niebezpieczeństwem i uważa je za bardzo bliskie do tego stopnia, że podobno dziś miał być wydany rozkaz, iżby miasta już zupełnie nie oświetlano latarniami.

— Czemu?

— Latarnie gazowe, których kilkanaście pali się w śródmieściu, mogłyby służyć dla oryentacyi nieprzyjacielowi, unoszącemu się w balonie nad miastem. Przekonamy się zaraz, czy taki zakaz faktycznie został wydany...

Pan Świerkowski podszedł do okna, wychodzącego na ulicę Grodzką, otworzył je i wychylił głowę.

Ulica zionęła pustką i ciemnością; żadna latarnia nie rozświecała mroków, tylko tu i ówdzie świa-

tła w oknach domów świadczyły, że ludzie żyją i mieszkają w mieście. *

Widok tej ciemnej pustki podziałął przygnębiająco na kobiety. Joasia zaczęła płakać i drzeć histerycznie ze strachu, pani Świerkowska, biadając nad strasznym losem czemprowadziej zamknęła okno, jak gdyby lękała się, że pocisk przez nie wpadnie. Pani Młodecka siedziała w osłupieniu na kanapie; przygody, jakich doznała w ciągu ostatnich miesięcy, wytworzyły w niej jakiś stan fatalistycznej apatii. Służąca, która od Joasi dowiedziała się o grożącym nowem niebezpieczeństwie, ogarnięta panicznym przerażeniem, zbiegła na dół do stróżki żądając otwarcia piwnicy, gdyż ona za żadne skarby w kuchni na drugim piętrze przez noc nie pozostanie, lecz szukać pragnie schronienia najgłębiej pod ziemią.

— Nie trzeba im było tego mówić — szepnęła pani Anna do strapionego pana Świerkowskiego. — Niepotrzebnie wuj przeraził ciotkę i Joasię. Balony tak często zawodzą, że obawy nasze mogą być zgoła płonne....

— To też nie rzekłbym ani słowa, gdybyście mnie nie zniewoliły do tego i gdyby nie fakt, że oficerzy uważają wyprawę Zeppelinowskiego balonu dziś lub jutro za rzecz pewną. A lepiej jest zawsze z góry wiedzieć o niebezpieczeństwie niż dać się mu zaskoczyć. Ty Andziu chyba wiesz najlepiej, czy niebezpieczeństwo istnieje? Oni tam na dworcu mó-

wili, że aeronauci niemieccy skorzystają niewątpliwie ze względnej pogody i ciszy w powietrzu.

— Nie trzeba jednak przeceniać niebezpieczeństwa, rzekła pani Anna. Z balonu w nocy nie łatwo będzie celować. Nie sądzę, byśmy musieli się bardzo niepokoić. Strach zresztą nic nam nie pomoże. Czekajmy spokojnie dalszych wypadków. Ach gdyby nasza „Wolność“*) istniała! Gdyby Jan był tu z nami!

— Uspokój ciotkę, Andziu, rzekł pan Świerkowski. Trzeba iść spać. Już późno. Jutro o szóstej muszę być w służbie.

Pani Anna poczęła tłumaczyć Joasi, żeby przestała płakać i trząść się ze strachu.

Perswazyje pani Anny odniosły skutek — i w kilka chwil potem cały dom udał się na spoczynek.

*) Tak nazywał się aeromobil inżyniera Silnickiego, opisany w powieści p. t. „Król Powietrza“.

Bomby z balonu.

Pani Anna w swoim pokoju położyła się również, ale spać nie mogła. Od dłuższego czasu objawiało się u niej zdenerwowanie i bezsenność, wywołane ciągłym niepokojem, niepewnością losu i tęsknotą za mężem. Pani Anna nie była stworzoną do życia nieczynnego i cichego, na jakie obecnie była skazaną, tęskniła do swobody, do przestrzeni, do ruchu i gwaru.

Leżąc w łóżku, przy blasku świecy przewracała kartki nudnej książki. Powoli kleiły się jej oczy, nie widziała już co czyta, książka wypadła jej z ręki.

W tym półśnie nagle wzdrygnęła się. Jakiś huk, niby wystrzał działa rozdarł ciszę nocną, wstrząsnął i wyrwał z marzeń nocnych usypiającą panią Annę. W kilka sekund później drugi grzmot rozległ się tak blisko, że szyby w oknach zadźwięczały.

Pani Anna usiadła na łóżku i spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta.

— Co to było? — pomyślała. — Strzały armatnie, eksplozye tak blisko? Czyżby.... A!

W tej chwili jaskrawy błysk oślepiającą skrå przesliznął się po czarnej tafli szyb okiennych, a w se-

kundę później potężny łoskot buchnął wichrową falą w okna, trzaskając szyby, które z brzękiem rozprysły się i padły na podłogę.

Chwila ciszy, potem rozległy się w kamienicy i w całej ulicy krzyki przerażenia. Pani Anna w koszuli pobiegła do okna, nie zważając na ułamki szkła potłuczonego na podłodze i otworzyła obie kwatery, pragnąc zobaczyć, co się stało.

— To była bomba, lub pocisk armatni. Czyżby tę bombę istotnie rzucono z balonu?

Wszędzie w oknach domów przy ulicy Grodzkiej jawiły się postacie w najgrubszym negliżu, nie mogące wytłómaczyć sobie tych strasznych eksplozji, które sen miasta zakłóciły. Słysząc było krzyki z placu Wszystkich Świętych, a blask czerwony na niebie, szybko się wzmagający, świadczył, że gdzieś w pobliżu wszczął się pożar.

Pani Anna szybko narzuciła na siebie szlafroczek i podążyła do pokoju jadalnego, gdzie się zgromadziła już cała wystraszona rodzina.

— Co to było? — zapytała pani Anna. — Co znaczą te eksplozje? Czyżby to były bomby, rzucone z balonu? Nie mogły to być przecież pociski dział, bo jeszcze żaden fort nie został zdobyty i nieprzyjaciel znajduje się w odległości dwu mil od miasta.

Nowa eksplozja jeszcze potężniejszym grzmiotem rozległa się w stronie Rynku.

— Jezus Marya uciekajmy! ukryjmy się w piwnicy! — krzyczała Joasia, biegnąc do drzwi.

Te eksplozje w ciszy nocnej, wywołane niewiadomo jaką przyczyną, sprawiały tak straszne wrażenie, że nawet pani Anna trząść się zaczęła.

Jakkolwiek w nocy nie było wolno mieszkańcom wychodzić z domów, tym razem nie zważano na ten rozkaz.

Ulicą Grodzką biegły już ku Rynkowi wystraszone gromadki ludzi, panicznym ogarniętych strachem, krzyczących i rozpaczających. Ogół mieszkańców Krakowa nie wiedział jeszcze wcale, że balon Zeppelin sprowadzony i przysposobiony był do bombardowania miasta.

Łuna ogromnego pożaru przerażającą jasnością rozwidniła pomrok nocy. Radca Świerkowski, który był członkiem ochotniczej straży, wdział mundur i podążył na ulicę. Pani Anna chciała mu z ciekawości towarzyszyć, ale musiała zaniechać zamiaru wobec rozpaczliwego protestu matki, ciotki i Joasi. Stała więc w oknie i podziwiała wspaniały, ale okropny widok szerzącego się coraz gwałtowniej ognia.

Z Placu Dominikańskiego dolatywał odgłos sygnarów straży pożarnej; ulicą Grodzką pędził oddział kawalerii i turkotały wozy, przeznaczone do służby sanitarnej. Zgiełk i tumult wzrastały z każdą chwilą....

Radca Świerkowski, znalazłszy się koło magistratu, nie mógł iść dalej, bo oddział wojska zamknął ulicę Grodzką. Wiązanie dachowe kamienicy p. Sułkiego stało w płomieniach, które przerzuciły się już

na sąsiedni dom. W dach kamienicy ugodził pocisk wybuchowy; rozerwał, strzaskał go w strzepy, zrujnował najwyższe piętro, jakby było z kart zbudowane — i wzniecił wśród gruzów pożar, szerzący się ze straszną szybkością....

Drugi pocisk, znacznie potężniejszy, padł na bruk rynku pod północną ścianą Sukiennic, naprzeciw odwachu. Druzgocąca wszystko siła eksplozyi zvaliła jeden z filarów i zerwała narożnik gmachu, czyniąc zarazem w bruku wyrwę na półtora metra głęboką. Odlamki pocisku, napelnionego straszną materią wybuchową, i zdruzgotane głązy obsypały odwach, zabijając żołnierza stojącego na warcie i raniąc ciężko kilku innych, którzy usłyszawszy huk pierwszych eksplozyj, wybiegli z izby i cisnęli się koło kraty odwachu.

— Zeppelin nad Krakowem! — krzyczeli ludzie zbielełymi ze strachu usty.

I nie mylono się.

Korpus pruski użył balonu Zeppelina do bombardowania miasta. Balon ten, należący do aeronautycznej floty niemieckiej (którą w roku 1911 tworzyły 3 wielkie balony systemu Zeppelina, 2 balony systemu Grossa i trzy balony systemu Parsewala) przybył z nad Gopła, gdzie na jeziorze wybudowany był pawilon służący na jego pomieszczenie, i umieszczony został w Czernichowie. Nosił on nazwę Zeppelin VIII. i w konstrukcyi swojej nie różnił się prawie zupełnie od balonu Zeppelina VI. (który pod

koniec roku 1908 zakupiony został przez państwo, jako pierwszy człon niemieckiej floty powietrznej, lecz doznał w 1909 r. zagłady) miał tylko silniejsze motory *).

Około godziny 10-tej w nocy, korzystając z zupełnej ciszy w powietrzu, balon, którego załogę stanowiło dziesięciu ludzi, wioząc w obu swoich łodziach czterdzieści specjalnych pocisków wagi pięciu, ośmiu i piętnastu kilogramów wzniósł się w górę w Czerlichowie i poszybował w kierunku Krakowa.

Przerazić miasto, zdemoralizować załogę, zrujnować fortyfikacje o ile one były widoczne z balonu, zbombardować także kilkoma pociskami same miasto czyli noyau twierdzy i wywołać wśród ludności nieuchronną paniką: oto był cel tej pierwszej barbarzyńskiej wyprawy. Wzniósłszy się w górę, balon szybował na wschód w kierunku Wisły, przeleciał

*) Zakupiony w listopadzie 1908 roku przez państwo niemieckie Zeppelin VI. był 136 m. długi o średnicy 11·7 m. Pojemność wynosiła 12.500 m³ gazu. Balon ten należał do latawców systemu sztywnego; korpus jego składał się z 17 mniejszych balonów jeden za drugim połączonych sztywną powłoką aluminiową kształtu walca o stożkowato zakończonych końcach.

Ruch statku wywoływały dwa motory benzynowe o sile 85 H. P. wprawiające w ruch śrubę powietrzną. Szybkość lotu na sekundę wynosiła 15 m.

Kierowanie oraz opadanie i wznoszenie się statku odbywało się w drodze dynamicznej za pośrednictwem odpowiednich sterów przy wydanej pomocy obu motorów. — Następne balony Zeppelina były znacznie większe. Motory ich miały 180 koni siły.

nad fortem w Pychowicach, ale go nie dostrzegł, bo światła wszystkie były tam pogaszone i żołnierzom rozłożonym w okopach i szańcach nie wolno było nigdzie palić ognisk, aby nie dawać celu artylerji nieprzyjacielskiej. Natomiast w fortyfikacjach na kopcu Kościuszki mieszkania oficerów były jasno oświetlone. Zeppelin VIII. rzucił tu dziesięciokilową bombę, która strzaskała część muru i zdemontowała jedną haubicę, następnie balon poszybował ku miastu.

Balon unosił się w wysokości około 700 metrów ponad miastem. Przedmieścia pogrążone były w mroku i nie widać tam było nigdzie światła, natomiast śródmieście rysowało się dość wyraźnie, dzięki światłom, bijącym z okien mieszkań, a zwłaszcza olbrzymi kwadrat Rynku, jakkolwiek żadna latarnia tam się nie paliła, tworzył jaśniejszą, dobrze widzialną plamę na tle mroków. Sunąc nad ulicą Zwierzyniecką, załoga balonu rzuciła drugą bombę, która padła na szyny tramwajowe obok kamienicy pod n-rem 21 i zniszczyła jej fasadę. Trzecia bomba ugodziła w dach kamienicy p. Suskiego i wzniciła straszny pożar. Następnie balon, zataczając łuk nad Rynkiem, rzucił czwartą bombę opodal Sukiennic, poczem popłynął prosto ku dworcowi kolei, który był oświetlony lampami elektrycznymi i doskonale widoczny z góry.

W chwili, gdy całe miasto zajęte było groźnym pożarem na Placu Dominikańskim, piętnastokilowa bomba padła na dach dworca. Jakby pod wpływem trzęsienia ziemi cała połać gmachu runęła; ziemia

w krąg zadrżała od okropnego huku, dym i kurz wypełnił powietrze, Grzmotowi eksplozyi towarzyszył w kilka sekund później trzask walącego się żelaznego wiązania, oszklonego dachu peronu.

Wśród ogólnej paniki nikt nie pomyślał o zgaszeniu lamp łukowych, które paliły się wzdłuż magazynów i innych budynków stacyjnych; zresztą okoliczność ta była bez większego znaczenia, bo i tutaj wśród gruzów zwałonego budynku stacyjnego zasyzczały języki płomieni i luna pożaru rozświetliła niebawem całą okolicę. Pięć mniejszych bomb, jedna po drugiej, padały nad magazynami obracając je w perzynę, wreszcie balon widocznie zatoczył łuk nad dworcem, bo jeszcze jedna bomba padła tuż opodal punktu pierwszej eksplozyi, niszcząc pozostałą część gmachu i przyprawiając o śmierć kilkunastu ludzi, którzy zamierzali zająć się gaszeniem pożaru.

Te eksplozye nad miastem, które wzniciły dwa pożary, takim przerażeniem napęłniły miasto, że ludzie, którzy znajdowali się na ulicach, jak obłąkani biegli z krzykiem na oślep i szukali schronienia w sieniach kamienic i w piwnicach. Jakaś kobieta w ataku szału histerycznego biegła od dworca przez ulicę Floryańską ku Rynkowi, wyjąc, płacząc i śmiejąc się naprzemiennie... Tylko straż ogniowa i wojsko nie schodziły z posterunku, dążąc z energią do zlokalizowania pożaru na placu Dominikańskim..

Minął kwadrans, w ciągu którego żadna nowa eksplozya nie dała się słyszeć. Miasto odetchnęło;

sądzono, że bezlitośny, niewidzialny wróg już oddalił się i zaniechał barbarzyńskiego bombardowania bezbronnego miasta.

Jakoż istotnie oficer, kierujący lotem balonu, osądził zniszczenie w mieście dostatecznem na pierwszy raz — i postanowił z kolei zniszczyć dworzec kolejowy w Płaszowie, a następnie spróbować bombardowania fortyfikacyj.

Balon płynął ponad Wesołą ku Podgórzowi, gdzie jeszcze jedna bomba została rzucona, ale nie wyrządziła większej szkody, upadłszy na plantach podgórskich. Tymczasem ochłonawszy z pierwszego wrażenia grozy, władze wojskowe zarządziły zgaszenie światła na dworcu w Płaszowie — i nim balon dopłynął na miejsce, nieprzejrane ciemności zaległy całą okolicę. Tylko dwa buchające słupy ognia w śródmieściu Krakowa wskazywały na miejsce, gdzie leżało miasto, zresztą wszędzie skrupulatnie pogaszono wszystkie światła, by żaden błysk nie zdradzał siedzib ludzkich ani fortyfikacyj.

W przewidywaniu napadu balonu, komenda twierdzy krakowskiej zawczasu zarządziła skonstruowanie dział szybkostrzelnych, służących do ostrzeliwania balonów. Działa te posiadały lafety, umożliwiające prawie prostopadłe ustawienie lufy, a umieszczone były na opancerzonych automobilach. Pięć takich samochodów było w twierdzy do dyspozycji, a nadto w każdym forcie znajdowały się specjalnie umontowane działa przeznaczone do walki z balonami.

Trzy automobile wysłano teraz na miejsce pożaru, w przewidywaniu, że może balon ponownie zjawi się nad miastem i zechce krążyć w pobliżu ognia, oświetlającego okolicę. Jeden z kierowników automobilu na placu przed dworcem chciał na chybił trafił dawać strzały w górę w różnych kierunkach dla odstraszenia wroga, ale mu wyperswadowano ten zamiar ze względu na niebezpieczeństwo poranienia ludzi przez spadające odłamki szrapnelów, oraz ze względu na szkodliwe skutki nowej paniki, jaką takie strzały wywołaćby musiały.

Mijały długie godziny mroźnej nocy listopadowej.

Żałoga balonu, nie zdoławszy wypatrzeć budynków stacyjnych w Podgórzu-Płaszowie, próbowała wykryć fortyfikacje; balon szybował nad okolicą Krakowa. Przy świetle kieszonkowej lampki elektrycznej oficerowie w łodziach Zeppelina VIII. usiłowali z pomocą kompasu i mapy nadać balonowi właściwy kierunek i odgadnąć położenie fortów i szaniec. W kilku miejscach, gdzie zdawało się im widzieć światła, rzucili bomby, ale bomby te padały na pola, nie wyrządzając szkody. Jedna tylko przypadkiem wybuchła w pobliżu baraków wysuniętego bastionu ziemnego i zraniła kilku żołnierzy. Ale choć nie szkodliwe; eksplozje te, dobrze słyszalne w fortach na Kopcu Krakusa, w Prokocimiu, w Rajsku, w Rżące, w Sierczy i pomniejszych redutach i okopach — szalony popłoch wzniciły wśród wojska austriackiego. To ta niewidzialność i tajemniczość nieprzyjaciela, miotają-

cego z góry roburytowe pociski, działała na wojsko demoralizująco; prostym żołnierzom, którzy nie mieli sposobności nigdy widzieć zbliśka balonu (Austria na punkcie aeronautyki zawsze pozostawała w tyle poza innemi państwami!) balon ten wydawał się jakąś apokaliptyczną zmorą, niosącą zagładę.

Po dwu godzinach takiego bombardowania, załoga miała już tylko kilka pocisków, a że lękała się, aby nie wyjechać poza linię fortów krakowskich i nie zbombardować przypadkiem własnej załogi, postanowiła zaniechać dalszej jazdy i zawrócić z powrotem.

Zaczem balon, kierując się na zachód, opuścił terytorium twierdzy krakowskiej i popłynął w kierunku ognia, biwakujących wojsk oblężniczych.

Na tę noc miastu nie groziły już pociski uskrzydłonego nieprzyjaciela.

Z nastaniem świtu ludność Krakowa wyległa na ulice, biadając nad poniesionemi stratami. Pożar na Placu Dominikańskim udało się na szczęście ugasić, dymił jednak zwaliska dworca, paliły się magazyny. Zniszczenie tych kolejowych magazynów było wielkim ciosem dla Krakowa, spalił się bowiem wielki zapas zboża i innych środków żywności, tam złożonych. Ogółem dość znaczne były także straty w ludziach. Skutkiem eksplozyi bomb i walenia się gmachów zginęło 11 osób, a około 60 było rannych. Ten rezultat pierwszej wyprawy balonu nieprzyjacielskiego zaniepokoił wielce komendę twierdzy krakowskiej; obawiać się należało, że Prusacy podejmą

dalsze wyprawy, zniszczą miasto i odbiorą ducha załódze. Lękano się bardzo o los magazynów amunicji i żywności oraz o los wodociągów; w każdym razie armia nieprzyjacielska posiadała w tym balonie nadzwyczajny środek pomocniczy, który umożliwiał najforsowniejsze prowadzenie oblężenia...

Już o godzinie dziewiątej zrana do komendy krakowskiej przybyło pismo od generalissimusa połączonej niemiecko-rosyjskiej armii oblężniczej, wzywające do poddania twierdzy. W piśmie tem wskazywano na straszne ofiary, jakie dalsza obrona twierdzy za sobą pociągnąćby musiała. Grożono dalszemi wyprawami balonowemi i bezlitośnem bombardowaniem miasta i fortyfikacyi. Nieprzyjaciel obłudnie ubolewał nad tą smutną koniecznością, ale zarazem oświadczał, iż nie cofnie się przed najostrzejszemi zarządzeniami.

W interesie bezbronných mieszkańców miasta należy więc niezwłocznie poddać twierdzę, która zaledwie kilka dni może jeszcze się bronić, albowiem następny wzlot balonu przyniesie zagładę jednemu albo dwu fortom i otworzy drogę do miasta szturmującemu wojsku.

Tak pisał dowódca armii oblężniczej.

Na naradzie wojennej postanowiono propozycje nieprzyjaciela bezwarunkowo odrzucić i bronić się do upadłego. O forty (zważywszy trudność wysłędzenia ich pozycyi podczas żeglugi nocnej) nie wiele się lękano; doświadczenie pokazało wprowadzić, że balon może stać się groźnym dla miasta, ale trzeba

było także pamiętać o tem, że skuteczność działania balonu zawisła od warunków atmosferycznych i od łatwo zawodzącej sprawności motoru. Lada defekt maszyny mógł pozbawić balon swobody ruchów i zmusić ten kolos do opadnięcia. Postanowiono więc bacznie za pomocą obserwacyi z balonu captif śledzić ruch oddziału aeronautycznego pruskiego, aby w danym wypadku zawczasu ostrzedz ludność. Jeden z pułkowników kawaleryi projektował także, aby z Bielan urządzić wycieczkę gościńcem przez Liszki (które były spalone i zmiecione z powierzchni) w kierunku Czernichowa. Z Liszek do Czernichowa było niepełna 10 kilometrów drogi, pułkownik proponował, aby kawalerya, artylerya i pancerne automobile podjęły nagły atak na pozycye pruskie i spróbowwały zbliżyć się bodaj na 5 kilometrów ku Czernichowu, aby można zbombardować halę, w której umieszczony był balon.



Pancerna wieża pod Bielanami.

Tegoż samego dnia od południa bombardowanie fortów podjęte zostało ze zdwojoną gwałtownością. Przez cztery godziny, to jest aż do chwili zupełnego zmierzchu, wielkie działa oblężnicze na wszystkich pozycjach zionęły nieprzerwanym gradem olbrzymich stalowych pocisków. Huk dział nie zamilkł także, aczkolwiek mrok zapadł; zaprzestano tylko strzałów przeciw wieży pancерnej w Śmierdzącej pod Bielanami i przeciw fortowi w Pychowicach, albowiem o godzinie 4-tej wieczorem a więc za dnia jeszcze, balon Zeppelina w Czernichowie wzbijał się znowu w powietrze i wzniosłszy się na wysokość przeszło 1000 metrów w górę, zwolna płynął ku Bielanom. Postęunki na wzgórzach bielańskich sygnalizowały natychmiast tę ponowną wyprawę balonu. Cztery pancerne automobile z działami zostały wysłane ku Woli i Bielanom.

W komendzie krakowskiej twierdzy dziwiono się wielce śmiałości, z jaką balon puszczał się jeszcze za dnia w drogę, narażając się na niebezpieczeństwo ostrzeliwania. Ludność Krakowa otrzymała ostrzeżenie,

izby opuściła górne piętra mieszkań; nie trzeba było tego ludziom powtarzać i formalnie walczone o miejsca w głębokich piwnicach starych domów krakowskich.

Ale wieczór zapadł, mrok gęsty zalegał miasto, w którem wszystkie światła były skrupulatnie pogaszone — a balon nie pojawiał się.

Balon, póki mrok nie udaremniał załodze obserwacyi, krążył powoli w pobliżu Bielan, najwidoczniej w celu dokładnego zrekonoskowania okolicy, zbadania pozycyi wieży pancernej oraz wodociągów miejskich.

Mrok zapadał szybko, nie tyle z powodu późnionej pory, ile z powodu zachmurzenia nieba. O czwartej godzinie zaczął dąć lekki wiatr w kierunku wschodnim i śnieg sypał gęstymi płatami.

Żołnierze, uczajeni w redutach i okopach, nie widzieli już balonu; śnieg nieprzejrzaną masą wirujących płatków zapełniał przestwór, przesłaniał widok. Korzystając z pomyślnego wiatru, balon zwrócił nagle lot ku wschodowi i popłynął ku wzgórzom bieleńskim, kierując się ku skale, w której umieszczona była niezwalczona wieża pancerna. Mimo zmroku załoga balonu mogła jeszcze dostrzegać zarysy przedmiotów na powierzchni ziemi, a ułatwiały tę orientację błyski wystrzałów, jakie raz po raz dawano z wielkich dział fortecznych. Także z przednich szanców strzelano nieustannie, jakkolwiek ogień baterij pruskich już zamilkł. Balon płynął szybko, znacznie się zniżwszy do ziemi skutkiem ciężaru śniegu, który białą

skorupą pokrył górną powierzchnię jego olbrzymiego kadłuba i oblepił boki.

Nadeszła chwila decydująca; nad skałą, w którą wkuta była wieża pancerna, unosił się już pruski balon. Oficerowie tworzący jego załogę trzymali już w rękach dwudziestokilowe bomby...

Zabrzmiała komenda.

Z obu łodzi balonu padły na ziemię trzy pociski i huk trzech eksplozji zlał się w jeden odgłos gromu, szerokim w okrag rozlewając się echem. Jeden tylko z tych pocisków był celny; spadł na środek kopuły wieży i rozerwał ją w dwu miejscach i zarazem przygniótł ją tak potężnie, że mechanizm służący do obracania wieży, zepsuł się. Wielkie działo twierdzy zostało zdemontowane; dziesięciu artylerzystów, którzy znajdowali się pod kopułą, zginęło skutkiem trujących gorących gazów, jakie się wdarły przez uczynioną szparę w potężnym pancерzu.

Dwa pociski padły obok wieży, na skały, stanowiące naturalną jej osłonę, i mury z betonu, pokryte grubym nasypem ziemi. Te wybuchy nie wyrządziły większej szkody, acz nczyniły w betonie wielką wyrwę. Natomiast pierwszy pocisk uniemożliwił prawie dalsze używanie wieży i odjął jej znaczenie pierwszorzędnego czynnika obrończego. Czwarty pocisk wyrządził jednak znowu wielką szkodę, bo padł w sam środek fortu, a eksplozja zniszczyła kazamaty i zabiła kilkudziesięciu żołnierzy. Ekspłodował także jeden z niewielkich magazynów amunicji w forcie.

Widocznie załoga balonu była już zadowolona z osiągniętego wyniku bombardowania, bo balon nie unosił się dłużej nad temi fortyfikacyami, lecz poszybował w kierunku budowli wodociągowych, obok których znajdowały się większe baraki, przeznaczone dla oddziałów wojska strzegących tej nadzwyczaj ważnej pozycji zachodniej.

Ściemniło się nagle, bo bardzo gęsty śnieg jął padać.

I nastąpiło teraz to, czego komenda twierdzy najbardziej się obawiała.

Z balonu padło kilkanaście pocisków na stacyę pomp wodociągowych, wtłaczających wodę do wielkiego rezerwoaru, zasilającego miasto Ktaków wodą. Stacya pomp, chroniona przez górę bielańską przed strzałami armatniami nieprzyjaciela, została, jak wiadomo, na życzenie wojskowości zbudowana obornie i posiada gruby dach z betonu, zdolny oprzeć się zwykłym pociskom działowym. Ale pod działaniem ogromnych roburytowych bomb, padających z góry, betonowy strop kruszył się i pękał niby zwykła dachówka. Trzy pociski wystarczyły, aby zrujnować stacyę pomp doszczętnie. Także główny zbiornik został rozwalony — i woda wielką falą poczęła się wylewać na gościniec.

Ludność Krakowa była od tej chwili pozbawiona wody do picia. Straszny to był cios dla oblężonej twierdzy. Gdy z Bielan telefonem polowym doniesiono komendzie, że wodociąg został zrujnowany, nie zwątpiono wprowadzić o możliwości dalszej obrony

miasta, ale poczęto położenie uważać za bardzo groźne.

Można było ostatecznie zaradzić brakowi wody do picia przez wykopanie studni i przez urządzenie stacyi filtrów dla wody wiślanej, ale z drugiej strony jasne było, że wobec tego nagłego nie-szczęścia, jakie na miasto spadło, największa nawet energia nie zdoła w pierwszych dniach zadość uczynić potrzebom ludności. Na kopanie nowych studni i na urządzenie filtrów potrzeba będzie przecie kilku dni pracy, a tymczasem mieszkańcy będą zmuszeni poprzestać na zwykłej, niefiltrowanej wodzie wiślanej i wodzie z nielicznych studni, przeważnie niezdatnej do picia.

Lekarze przewidywali wybuch epidemii tyfusu, skutkiem używania tej wody.

Zburzenie wodociągów musiało na usposobienie ludności Krakowa i Podgórza deprymujące wywrzeć wrażenie, a w razie ponawiania wypraw balonu nad miasto i dalszego burzenia fortyfikacyj i domów mieszkalnych, wybuch paniki był nieuchronny.

.
Spełniwszy dzieło zagłady na Bielanych, rzuciwszy w przelocie na wojskowe baraki trzy mniejsze pociski, które zażęgły ogień i przyparowały o śmierć kilkunastu żołnierzy, balon płynął dalej na zachód w zamiarze ponownego zbombardowania Krakowa.

Ściemniło się prawie zupełnie i śnieg padał bez

przerwy. Automobile pancerne, otrzymawszy wiadomość o domniemanym kierunku lotu balonu, dążyły wszystkie na Błonia...

Minęły dwa długie kwadranse, w ciągu których oddziały piechoty na Woli Justowskiej i koło fortu na Sikorniku nadaremnie śledziły ciemny nieboskłon, wyczekując ze drżeniem, żali z góry nie spadnie śmiertcionośna bomba. Była jednak cisza dokoła, którą przerywały tylko głuche gromy dział rosyjskich, bombardujących bez przerwy fortyfikacje krakowskie.

Śnieg przestał padać. Zapadała noc, względnie jasna, bo biel śniegu, pokrywająca ziemię, rozjaśniała ciemności.

Od miasta przez Błonia maszerowała kompania piechoty i ciągnęła półbateria artylerii polnej, zmierzając na noc ku Woli Justowskiej i Chełmowi, przeciw którym nieprzyjaciół kierował coraz ostrzejsze ataki.

Oficerowi, kroczącemu na czele kompanii, maszerującej w wielkiem przygnębieniu, zdawało się nagle, że słyszy w powietrzu nad sobą jakiś szum, jakies krzyki... Podniósł głowę i spojrzał: jakiś ogromny przedmiot przesunął się w przestworzu, nisko nad ziemią, majacząc niewyraźnemi kształtami, które odcinały się od ciemnego tła niebios tylko dzięki temu, że ów kolos był od góry pokryty białą warstwą śniegu.

— Balon! balon! — krzyczeli żołnierze.

Część kompanii, na widok złowróżbnego potwora panicznym strachem przejęta, rzuciła się do ucieczki

na oślep w noc ciemną, większość jednak bez komendy wycelowwała karabiny i rozpoczęła bezładny ogień.

Wściekłość ogarniała żołnierzy na widok tego straszego, bezlitośnego wroga, który nareszcie zbliżył się na odległość strzału, wściekłość taka, że byliby lecieli pod grad bomb, byle tylko lepiej dojrzeć i z bliższego dystansu móżdż ostrzeliwać potworny balon. Oficerowie nawet, wyrwawszy karabiny z rąk żołnierzy, dawali ognia do powietrznego wroga.

A balon nie uciekał i nie rzucał też pocisków, lecz coraz niżej opadał ku ziemi. Byłżeby to skutek ostrzeliwania?

Inna była przyczyna. Załoga balonu w ferworze bombardowania nie zwróciła była uwagi na śnieg, który coraz grubszą warstwą osadzał się na powierzchni balonu i ciężarem swoim przytłaczał go do ziemi. I przyszła chwila, że balon zaczął raptownie opadać. Gdy zmiarkowano niebezpieczeństwo, usiłowano zawrócić z drogi. W tem jeden motor odmówił służby, a przy próbie skrętu popsuł się ster.

Powietrzny kolos był prawie bezwładny i coraz niżej opadał.

Załoga balonu nie traciła jednak jeszcze wcale nadziei ratunku. Wyrzucono z łodzi wszystko, co się dało, nawet części motoru, aby balonowi ulżyć ciężaru — i spodziewano się, że dzięki wiatrowi i dzięki ciemnościom nocy balon zdoła niepostrzeżenie prze-

płynąć ponad Krakowem i opaść gdzieś na wschodzie, już poza linią austriackich fortów. Chodziło przecież o przebycie tylko piętnastu kilometrów przestrzeni!

Zawiedli się jednak Prusacy!

Dziesiątki kul manlicherowskich rozszarpały powłokę balonu, powodując tem szybsze opadanie.

Już tylko pięćdziesiąt metrów dzieliło go od ziemi. Żołnierze, strzelający do balonu, wydali okrzyk tryumfu i poczęli biec w kierunku domniemanego spadku. Oficerowie nadarmo ich wstrzymywali. Żołnierze biegli na oślep, pałając szaloną mściwą żądzą dopadnięcia wroga i rozdarcia go w sztuki. Na odgłos strzałów i krzyków, od Woli Justowskiej i Bielan nadszedły automobile pancerne, a z Krakowa wysłano nowe oddziały piechoty i artylerii. Wszystko biegło, brnęło w śniegu przez Błonia, kierując się ku opadającemu balonowi, który bezwładny, unoszony wiatrem, płynął nad Błoniami, z każdą sekundą coraz bardziej zniżając się ku ziemi, że wreszcie niemal ślizgał się po niej.

— Mamy go już! — krzyczeli żołnierze

— Nie strzelać już! — komenderowali oficerowie, ale w ferworze pościgu nikt nie słuchał słów komendy.

Załoga balonu, złożona z 6 ludzi, mianowicie z trzech oficerów artylerii i trzech mechaników, nie myślała o oporze, lecz powiewała chustkami białymi i krzyczała, że się poddaje. Ale w ciemnościach zimowego wieczoru nie dostrzeżono tych znaków. Wzrok patrzących zdala rozróżniał tylko olbrzymi kadłub ba-

lonu, białą śniegu pokryty, sunący tuż nad ziemią, niby ów biblijny lewiatan.

Nagle silniejszy podmuch wiatru uniósł balon o kilka metrów w górę, ale zaraz rzucił go o ziemię. Łodzie balonu zaryły się w zmarzły grunt, a przód balonu uderzył o wał, ciągnący się wzdłuż nowego łożyska Rudawy, obsadzony drzewami.

Działo się to prawie naprzeciw wejścia do Parku Jordana.

Balon gwałtownie opadłszy, przewrócił się na bok. Aluminiowy szkielet kadłuba połamał się, przez rozdartą powłokę gaz wielką falą uchodził.

Pierwsi żołnierze już dopadli łodzi balonu i wyciągali z niej Prusaków, którzy prawie wszyscy przy tem rozbiciu balonu doznali uszkodzeń.

W tem jaskrawy, oślepiający buchnął płomień; zdawało się, jakby całe Błonia naraz stanęły w ogniu, straszliwy żar wionął ku nadbiegającym żołnierzom, zwęglił i rozszarpał ich ciała, a potężny huk eksplozyi wstrząsnął powietrze...

Wszyscy, bliżej balonu się znajdujący, zostali o ziemię rzućeni, oślepieni i poparzeni. Ci zaś, którzy na gościńcu stojąc, oczekiwali rozbicia się balonu, poczęli teraz biedz na miejsce katastrofy. W ciemnościach słyhać było rozpaczliwe jęki poparzonych i pokaleczonych ludzi.

W kilka minut później nadjechały wozy sanitarne i oświetlono Błonia lampami ligroinowymi i elektrycznymi reflektorami.

Z balonu pozostał tylko stos połamanych prętów i metalowe, pogięte żebra konstrukcyi. Załoga balonu i wszyscy w okręgu piętnastu metrów przy balonie znajdujący się ludzie, ponieśli śmierć na miejscu, dalej stojący odnieśli rany. Do późna w noc trwał opatrunek i przewóz rannych i trupów do miasta.

Szturm.

Załoga twierdzy nie miała jednak czasu na objawę radości z zagłady uskrzydłonego wroga, bo skoro tylko fort pod Bielanami legł w ruinach, oblężnicza armia ruszyła do szturm na całej linii. W rosyjskiej i pruskiej kwaterze głównej nie wiedziano przez kilka godzin nic o zagładzie balonu Zeppelinowskiego i spodziewano się ujrzeć go lada chwila nadlatującego i biorącego udział w dalszem bombardowaniu fortyfikacyi. Albowiem *ordre de bataille* była wydana następująca: balon miał rozpocząć bombardowanie fortów, zniszczyć jedną z ważnych, kluczowych pozycy i utorować w ten sposób drogę szturmującym oddziałom. Balon miał następnie przelecieć nad miastem, rzucić kilkadziesiąt bomb w różnych punktach, aby wywołać w obrębie twierdzy jak największą panikę, następnie powrócić i brać udział w dalszem niszczeniu fortyfikacyi. Szturm miał być prowadzony możliwie intensywnie, bo Rosyanom chodziło o jak najrychlejsze zdobycie miasta, choćby kosztem tysięcy ofiar.

Sytuacja na terenie wojny w Czechach i w Królestwie Polskiem wymagała najszybszego działania. Austriacka armia, skoncentrowana między Przemyślem a Jarosławiem, odniosła już kilka drobnych zwycięstw, odparła wkraczające rosyjskie oddziały i uprzedzając wtargnięcie wielkiej armii rosyjskiej, która jakoś nie mogła się zebrać, wkroczyła do Królestwa Polskiego zmierzając ku Lublinowi i Warszawie.

W Czechach armia austriacka wobec znacznej przewagi pruskiej cofała się ku Bernu i Wiedniowi, broniąc jednak każdej piędzi ziemi. Prusacy poznali, że nie tak łatwo, jak się tego spodziewali, przyjdzie im zgnieść Austryę, zwłaszcza, że pułki słowiańskie szły w bój z niezłomną brawurą. Kampania przeciągała się, co budziło wielkie obawy w Berlinie.

Zaczem z nad Sprewy szły telegramy do Petersburga z żądaniem przyspieszenia zbrojeń i energiczniejszej akcji pomocniczej. W Petersburgu również lękano się przewlekania wojny. Zakończyć wojnę decydującem zwycięstwem było koniecznością dla Prus i Rosyi. Potężna twierdza krakowska, na pograniczu rosyjskiem i pruskiem była tą skałą, o którą rozbijały się zapędy sił nieprzyjacielskich; ona zamykała drogę w głąb kraju, jej

istnienie stanowiło wielkie niebezpieczeństwo dla tyłów armii, któraby ją chciała ominąć.

Kraków musiał upaść, choćby zdobycie go miało być okupione największymi ofiarami.

Dlatego sprowadzono nad Wisłę balon Zeppelina, dlatego korpus pruski wziął udział w oblężeniu.

Zniszczenie fortu pod Bielanami było dla twierdzy krakowskiej wielkim ciosem. Aby obronić tę pozycję i wyłom uczyniony w linii fortyfikacyj naprawić, wysłano pod Bielany wszystkie rezerwy. Nie było ich jednak wiele, bo od godziny 5-tej popołudniu począwszy, wojska rosyjskie przypuściły gwałtowny atak na wszystkie punkty obrony i walka trwała przez całą noc, więc wszędzie trzeba było szeregi obrońców wzmacniać rezerwami.

Główny atak kierował się przeciw Bielanom. Korzystając z chwilowej nieczynności zrujnowanego fortu, wojska rosyjskie poczęły wdzierać się na przednie szanie i wzięły je szturmem. Pod osłoną ciemności nocnych piechota i artyleria posuwały się coraz dalej, ścieląc drogę gęsto trupem. Komenda twierdzy zdawała sobie doskonale sprawę, co by to znaczyło, gdyby nieprzyjaciół udało się istotnie przełamać linię fortyfikacyjną i usadowić się na górze bielańskiej. To też wszystkie baterie artylerii polnej, które były do dyspozycji, zgromadzono na tym zagrożonym punkcie.

Wszystkie wzgórza zamieniły się w wulkany, zieleńce nieprzerwanym strumieniem ognistej lawy pocisków.

Ale przewaga szturmujących była zbyt znaczna, a noc ułatwiała ich zamiary. Gdy pierwsze brzaski świtu szarzały na niebie, rosyjska piechota, znajdowała się na *glacis* fortu. Rozpoczęła się walka na białą broń i na ręczne granaty. Po godzinnym krwawym boju, w którym obrońców do nogi wybito, fort wpadł w ręce rosyjskie. W tejże chwili jednak forty w Pychowicach i Mydlnikach i baterie ustawione na Młyńskiej górze wzięły fort bielański w krzyżowy ogień. Ale coraz to nowe zastępy piechoty rosyjskiej nadciągały i zagrzone powodzeniem rzucały się w bój. Pruski korpus, pragnący pomścić zagładę balonu, dzielnie im sekundował. Około południa bateria na Młyńskiej górze została zmuszona do milczenia; fort w Pychowicach wprowadził nieustannym ogniem raził Rosyan, okupujących zwaliska fortu bielańskiego, ale sam fort pychowicki był zagrożony. Nie zważając na straty, piechota rosyjska parła nieustannie naprzód.

Popołudniu klasztor bielański, bombardowany naprzód przez Rosyan, którzy chcieli z niego wykurzyć Austryaków, następnie przez Austryaków, którzy nie chcieli Rosyanom i Prusakom pozwolić się w nim usadowić, był tylko krwawą kupą gruzów, grobem kilkunastu setek walczących. Mimo najdzielniejszej obrony nie udało się jednak Austryakom wyprzeć Rosyan z tej pozycji. Wieczorem zarówno klasztor, jak i budowle wodociągów były opanowane przez rosyjską piechotę i artylerję, które się tu czempredzej

okopywały, aby bronić tej pozycji i utrzymać się na niej.

Wśród nieustannej kanonady minęła noc.

Na ranem o świcie trzy kompanie rosyjskiej piechoty, wypadłszy z lasu bielańskiego i z ruin klasztoru próbowały szturmować okopy, zamykające ten gościniec. Ale działa portu w Pychowicach, panujące nad gościńcem, straszne zniszczenie sprawiły w szeregach rosyjskich.

Szturm został odparty, ale sytuacja dla Krakowa była bardzo groźna. Tylko fort Pychowiński i fortyfikacje na Kopcu Kościuszki strzegły wrót miasta w tej stronie i wstrzymywały zapędy nieprzyjaciela. Gdyby się jednak Rosyanom udało zaciągnąć ciężkie działa na górę Bielańską i zbombardować fort w Pychowicach, wówczas droga do Krakowa stałaby otworem i upadek twierdzy byłby nieuchronny.

Tylko baterie na Kopcu Kościuszki mogłyby jeszcze przez krótki czas szachować nadciągającego od Przegorzał nieprzyjaciela, ale te baterie mogły być łatwo zmuszone do milczenia, bo ufortyfikowanie Kopca żadnej nie posiada wartości wobec dzisiejszych pocisków.

Więc komenda twierdzy wyteżyła wszystkie siły, aby nie dopuścić do usadowienia się Rosyan i Prusaków na wzgórzach bielańskich.

Próżne jednak były te wysiłki. W rosyjskim i pruskim sztabie rozumiano również dobrze wartość zdobytej pozycji i nie dano się z niej wyprzeć.

Nieustanny trzydniowy krwawy bój wyczerpał zupełnie siły załogi krakowskiej; straty jej były olbrzymie. Gdy wreszcie następnej nocy pierwsze strzały z ciężkich dział oblężniczych padły na forty w Pychowicach, zaczęto w Krakowie powątpiewać o możliwości dalszej obrony; ludność pozbawiona wody, zdemoralizowana bombardowaniem z balonu, błagała, aby twierdzę poddano i nie narażano miasta na okropności szturm.

Strzały ze wzgórz bielańskich kierowały się w dalszym ciągu na fortyfikacje na Kopcu Kościuszki, które oczywiście zaraz legły w gruzach. Następnie bomby poczęły padać na Kraków. Półwsie Zwierzynieckie stanęło w płomieniach.

Nastała znowu noc.

Kanonada nie ustawała.

Bomby raz po raz pękały nad śródmieściem. Już kilka kamienic przy ulicy Zwierzynieckiej, przy Wiślanej, przy Rynku, przy Starowiślanej, przy Dietlowskiej uszkodziły pociski. Jedna bomba zerwała zupełnie kopułę kościółka św. Wojciecha na Rynku, inna wpadła do muzeum Czartoryskich, niszcząc kilkanaście witryn z makatami i kilka cennych obrazów. Także gmachy wawelskie były już silnie uszkodzone.

Było oczywiste, że wobec zajęcia przez nieprzyjaciela pozycyi bielańskiej, twierdza długo bronić się już nie mogła. Jeszcze kilka godzin bombardowania, jeden szturm — i droga do miasta stała dla nieprzyjaciela otworem.

Nikt nie spał w mieście tej nocy, w której bomby padały na dachy domów, szerząc zniszczenie. Od trzech dni cała załoga nie zmrużyła oka, ponieważ na wszystkich pozycjach bój toczył się bez przerwy i działa grzmiały bezustannie.



„Wolność“.

Staś Swierkowski, wynędzniały, zziębnięty i głodny siedział w rowie za wałami, usypanymi w pobliżu fortu w Węgrzcach, wysuniętymi najdalej przeciw nieprzyjacielowi. Cała kompania, w której Staś służył, składała się z młodziutkich żołnierzy, prawie dzieci jeszcze, powołanych pod broń przy mobilizacyi. Groźna sytuacja sprawiła, że tych dzieciuchów używano teraz do służby w linii narównie ze starymi żołnierzami. Wyczerpani, przemokli, z gorączką w oczach, trzeci dzień nie schodzili ci chłopcy z pozycyi. Raz po raz nad ich głowami jawiły się białe obłoczki, z których wśród huku spadał grad odłamków żelaznych na okopy.

Staś siedział w rowie z karabinem, opartym o kolana. Wszystkie kości go bolały i niekiedy kaszel nim wstrząsał, którego się nabawił, spędzając noce na gołej ziemi. Wyczerpany do ostatka, apatycznemi oczami spoglądał na koniec swych zabłoconych popękanych butów. Spać mu się chciało, przymykał oczy, nie zważając na ciągłe eksplozje szrapneli,

których odłamki zasypywały koronę wałów. Drzemał, marząc o wygodnem łóżku w domu i porządnym obiedzie. Ach, raz najeść się do syta i nie widzieć już wstrętnych konserw, które wraz z zatęchłym, przez myszy nadgryzionym chlebem, służyły tym żołnierzom za jedyne pożywienie w ostatnich dniach! Oficer, dowodzący kompanią, siedział opodal również przygnębiony. Żołnierze wprawdzie nie byli dokładnie poinformowani o sytuacji na innych punktach oblężenia, ale miarkowali, że źle się dzieje, a wiadomość o upadku fortu bielańskiego była im już wiadoma i deprymujące wywarła wrażenie.

Koło Stasia siedział ośmnastoletni żołnierz, typowy andrus ze Zwierzyńca. On jeden z całej kompanii nie tracił rezonu.

Trącił Stacha w ramię, gdy na chwilę huk dział zamilkł. Ten spojrzał na niego błędnymi oczami.

— Dej, brachu, papirusa, rzekł andrus do Stasia.

Żołnierka, wspólna niedola i groza śmierci, wytworzyły między chłopcami ścisłe koleżeństwo. Zatarły się różnice wykształcenia i pozycji społecznej. Obaj byli jednako brudni, obszarpani, głodni, wynędzniali.

— Nie mam już, wczoraj dałem ci ostatniego, rzekł Stach.

— Psiakrew, do cholery pruskiej z taką wojną! Dejez twoją tabakierę, może się jeszcze co z niej wykrobie, bo się wścieknę, jak się nie zaciągnę innym dymem, jak z tych śmierdzących kanonów.

Staś podał mu skórzaną papierośnicę, którą żoł-

nierz skrętnie wytrzepał, zbierając okruszyny tytoniu. Zebrała się szczypta mialu tytoniowego.

— Na dwa dymki starczy. Wyciągnął z kieszeni kawałek gazety i skręcił troskliwie papierosa.

— Patyczków nie masz?

— Nie mam, przecie wiesz, że mi wczoraj zamokły.

— Ano, to chyba poczekam, aż od jegrów przyleci jaka kula rozpalona, i papirusa zapalę se od niej. Juchy coraz lepiej strzelają, rzekł, zadzierając głowę do góry, aby obserwować szrapnel, który nagle rozkwitł białą chmurką dymu. A to, psiakrew, co znaczy? — dodał nagle, obserwując ze zdziwieniem nieboskłon.

Staś podniósł również głowę i spojrzał w kierunku wskazanym.

Na sinem tle niebios rysował się jakiś przedmiot, poruszający się z widoczną chyżością w kierunku miasta.

— Psiakrew, czy nam tu Prusaki nowy balon przysyłają? Wtedy byłoby z nami aus kapelusznik!

Tajemniczy przedmiot zbliżał się szybko. Zauważyli go już inni żołnierze. Oficer skierował nań polową lornetkę.

Latawiec unosił się bardzo wysoko nad ziemią.

— To nie balon! — rzekł oficer. Zeppelinowski balon zupełnie inaczej wyglądał i znacznie był większy.

— Może to torpeda powietrzna? — krzyknął jeden z żołnierzy, technik z zawodu, który słyszał

o próbach skonstruowania takiego nowego przyrządu śmiercionośnego.

Oficer wzruszył ramionami.

— Próby z powietrznymi torpedami nie wydały rezultatów pomyślnych. Torpedy powietrzne nie istnieją.

Staś patrzący bez przerwy w niebo, nagle zerwał się na równe nogi i blady ze wzruszenia podbiegł ku oficerowi.

— Jeden jest człowiek na świecie, który sporządził latawiec, zdolny do lotu na dalekie przestrzenie i bez względu na pogodę. Tym człowiekiem jest Jan Silnicki. Jego żona, moja kuzynka, znajduje się tu w mieście. Kto wie, czy Silnicki nie przysła po nią swego aeromobilu?

— Jego aeromobil przecie rozbił się w Tatrach — rzekł oficer.

— Ale po tylu miesiącach Silnicki mógł nowy statek sporządzić! Ten przedmiot, który tam unosi się w górze, nie jest balonem, a więc może być tylko latawcem. Odgaduję, przeczuwam, że to jego latawiec zbliża się ku nam.

Tymczasem latawiec, wyglądający na tle niebios jak czarna kreska, przesunął się poza linię szczytów austriackich i unosił się już nad zamkniętym terytorium twierdzy.

W mieście również go dostrzeżono i śledzono lot jego ze drżeniem.

Statek, utrzymując się ciągle w wysokości 2000 metrów ponad ziemią widocznie w obawie strzałów,

płynął już nad Krowodrzą i kierował się ku śródmieściu.

Widok ten zelektryzował całą ludność nieszczęsnego miasta. Przeważna część mieszkańców sądziła, że grozi napad ze strony jakiegoś nowego balonu pruskiego i oczekiwała w panicznej trwodze, rychłoli spadnie pierwsza bomba. Ale wśród grup ciekawych, zebranych na Rynku, z ust do ust podawano sobie słowa „aeromobil Silnickiego“, które budziły entuzjastyczną radość.

Pani Anna, nie opuszczająca mieszkania, nie słyszała jeszcze wieści, aż dopiero radca Świerkowski, biegnąc z miasta tak zdyszany, że tchu złapać nie mógł, wpadł do niej do pokoju i oznajmił jej nowinę. Pani Anna, nie zważając na mroźną aurę, jak stała, tak wybiegła na ulicę, aby na własne oczy ujrzyć zagadkowy latawiec. Z okryciem i kapeluszem podążył za nią radca Świerkowski.

Pani Anna stała w ulicy Grodzkiej i płonącymi oczami wpatrywała się w przestwór. Serce jej biło jak młotem.

— Lornetkę mi daj, moja złota, prędzej lornetkę! — wołała do Joasi, która również, ale bez pośpiechu, wyszła na ulicę.

Ręka silnie drżała pani Annie, gdy lornetkę podnosiła do oczu. Pani Anna wpatrywała się długo w przestwór niebios, wreszcie z radością w głosie zawołała:

— Ten latawiec unosi się zbyt wysoko, bym

mogła kształt jego dokładnie rozpoznać, ale jestem prawie pewną, że jest to statek bardzo podobny do naszej dawnej „Wolności“. Z pewnością Jan przybywa nam na ratunek!

Aeromobil znajdował się już nad Rynkiem i zniżył lot.

Na bruk padło kilka pudełek kartonowych, sznurem obwiązanych, wyrzuconych z latawca. Gromady ciekawych, zebrane na Rynku i policyjanci pospieszyli ku punktom, gdzie padły owe pudełka. Rozerwano je w mgnieniu oka. W każdym pudełku znajdował się list, zredagowany w języku polskim i niemieckim. List ten, zaadresowany do komendy twierdzy, opiewał:

„Przybywam z Londynu aerobilem, wyląduję na Błoniach. Proszę o przysłanie tam oddziału żołnierzy celem ochrony statku. Przywożę dobre wiadomości z placu boju w Czechach i Morawie. Proszę zawiadomić niezwłocznie żonę moją, Annę Silnicką o mojem przybyciu“.

Jan Silnicki.

A więc prawda! Silnicki przybywa, przywozi dobre wiadomości, przynosi może ratunek!

Lotem błyskawicy radosna wieść ta obiegła miasto. Niektórzy już opowiadali, że Silnicki całą flotę statków powietrznych przyprowadza z sobą i srogi odwet weźmie teraz na Niemcach. Wszyscy, kierując się za lotem statku, spieszyli ku Błoniom, aby przypatrzeć się lądowaniu aerobilu. Zawiadomiona o treści listu

komenda, wysłała niezwłocznie szwadron kawalerii na Błonia, który zamknął kordonem ulicę Wolską i Zwierzyniecką, powstrzymując gromadzące się tłumy.

I pani Anna też była w tym tłumie publiczności, którą wojsko ze zwykłą brutalną energią rozganiało.

Tymczasem aeromobil opadał coraz niżej. Załedwie czterysta lub trzysta metrów dzieliło go od ziemi i można było już kształty jego wyraźnie rozpoznać. Pani Anna nie posiadała się ze wzruszenia. Próbowała przedostać się przez kordon żołnierzy, mówiąc, że jest żoną aeronauty, ale żołnierze tylko głupkowato się uśmiechali i nadal wzbraniali jej dostępu na Błonia, a oficera, do którego by się zwrócić mogła, nie było. I dlatego pani Anna musiała uzbroić się w cierpliwość i stała wraz z Joasią, którą ze sobą zabrała, drżąca i szczęśliwa, nie mogąc się doczekać chwili, w której padnie mężowi w ramiona.

Nareszcie go dojrzała, albo raczej przeczuła, że to on idzie.

Silnicki, w ciepłe futro okutany, w czapce grubej, osłaniającej uszy, w rękawicach futrzanych — szedł zwawo ku miastu, otoczony kilku oficerami, którzy z natężeniem słuchali jego opowiadania. Za nim kroczył Szymon Kruszek, podobnie odziany, mając również oficerów za słuchaczy.

Dochodzili do szpaleru wojska, zamykającego drogę na Błonia.

— Janku! — krzyknęła pani Anna tak silnie, iż głos jej przebił się przez gwar tłumu i wstrząsnął

Silnickim. Rzucić się w kierunku tego tęsknotą i radością drgającego głosu, przecisnąć się przez kordon żołnierzy, było dla wynalazcy dziełem jednej sekundy — i już żona leżała mu w ramionach.

— Hoch! — wołali oficerowie, patrząc na tę scenę. A już i Kruszek podszedł do pani Anny i ucałował jej ręce milcząco.

— Panie Szymonie, drogi panie! — mówiła wzruszona pani Anna, ze łzami szczęścia w oczach. Niedawna wyprawa do Berlina, podjęta wraz z Kruskiem, stała się jej żywo w pamięci.

— Nareszcie cię mam i nie opuszczę cię więcej, wywiozę cię dzisiaj jeszcze z tego miasta — mówił wynalazca urywanym głosem do żony, wpatrując się w oczy. Pokaż się, jak wyglądasz! No, nie tak źle, tylko trochę zeszczuplałaś. Pewno post dobrze dał ci się we znaki; już wam brakło żywności? Ach, jak ja się lękałem o ciebie! O sytuacji Krakowa od dwu tygodni dochodziły nas nadzwyczaj alarmujące wieści — a nie mogłem się uporać z budową latawca! Dzienniki niemieckie głosiły już, że lada chwila twierdza się podda. W Londynie uważano te wieści zrazu za przesadne i kolportowane w celu podniesienia ducha armii niemieckiej, której w Czechach nie bardzo świetnie się wiedzie, ale barbarzyńskie wyprawy balonu Zeppelina naprawdę mnie zatrwożyły. Dzięki Bogu, przybyłem jeszcze w porę, aby moją żoneczkę wywieźć z miasta przed upadkiem twierdzy...

W tej chwili kanonada z gór bielańskich, która

na półtorej godziny była przycichła, rozpoczęła się ze zdwojoną siłą. Słychać było wyraźnie przeraźliwy, przeciągły gwizd szrapneli, lecących ku miastu i pękających nad pierwszą linią fortyfikacyj. Na Błoniach poczynano być niebezpiecznie. Ludzie, zebrani u wylotu ulicy Wolskiej, jęli uciekać ku miastu.

— Nie można aeromobilu na Błoniach pozostawić — mówił Kruszek mocno zaniepokojony. Trzeba się wznieść i w bezpieczniejszem wylądować miejscu.

— Masz rację, rzekł Silnicki do przyjaciela, Wracajmy do statku!

— Ja idę z wami — zawołała pani Anna.

Silnicki wiedział, że na nicby się zdało oponować żonie. Więc wrócili razem na miejsce, gdzie — na początku parku Jordana — spoczywał aeromobil, „Wolność II“, strzeżony przez oddział żołnierzy.

— Nic a nic nie różni się od naszej cudnej „Wolności, która rozbiła się w Tatrach! — mówiła pani Anna, z zachwytem patrząc na błyszczące metaliczne skrzydła aeromobilu.

— Konstrukcja ta sama, tylko płaszczyzny nośne są o 20 metrów kwadratowych większe — objaśniał wynalazca. Wsiadajmyż czempredzej — nagiął do lotu.

Wraz z Silnickim, Anną i Kruszkim dwu oficerów weszło do kabiny latawca. Silnicki wprowadził w ruch motor, koła wiatrakowe z szumem jęły się obracać i aeromobil wzniósł się w powietrze i płynął szybko nad miastem.

— Popłyniemy na wschód. Na polach za rogatką

Mogilską będziemy bezpieczni przed strzałami — mówił Kruszek, który dobrze znał Kraków.

Mam jeszcze tyle benzyny w zbiorniku, że moglibyśmy śmiało na Węgry się puścić i do Budapesztu polecieć — mówił Silnicki do żony. Wyrzucę pocztę, wyproszę tych oficerów — i puścimy się zaraz w drogę? Dobrze?

— Nie, nie można, trzebaby matkę zabrać z nami — odparła Anna.

Silnicki skrzywił się trochę, bo wołałby z samą żoną odjechać, ale przyznał jej rację.

— I musisz się wpierw zobaczyć z komendantem twierdzy — dodał Kruszek — aby mu zdać relację o przebiegu kampanii i sytuacji w Rosyi, Armia austriacka zwycięża!



Zwycięstwo !

Pani Anna słuchała tych słów z rosnącym wzruszeniem i oficerowie wyteżyli słuch.

— A jakież był przebieg kampanii w Czechach? — pytał jeden z oficerów.

— Odbłyły się już dwie bitwy na teatrze czeskim, których nie można dla Austrii nazwać przegranemi. Wprawdzie wobec przewagi sił nieprzyjacielskich armia austriacka cofa się ustawicznie, ale w wielkim porządku, a Prusacy doznali wielkich strat i postępują tylko zwolna naprzód. Pod Wiedniem oczekiwana jest decydująca batalia.

— A Rosyanie? — pytali niecierpliwie oficerowie.

— Tym jakoś się nie wie. Armia ich wschodnia do tej chwili nie jest całkowicie zmobilizowana, armia środkowa zaś, która miała ciągnąć na Lwów, została odparta i odrzucona ku Kamieńcowi, natomiast korpusy austriackie wzdłuż Sanu wkroczyły do Królestwa idąc na Lublin ku Warszawie.

Wszyscy słuchali tych słów z najwyższym wzruszeniem.

Tymczasem aeromobil dopłynął nad pola za mogiłą rogatką i tam, pół kilometra poza bastyonem wojskowym, opadł ku ziemi. Z komendy twierdzy podążyło tam samochodami kilku oficerów, prosząc wynalazcę, aby zaraz udał się do komendanta twierdzy. Zaczem, pozostawiwszy statek pod strażą rotę żołnierzy, całe towarzystwo wróciło do miasta. Silnicki udał się do komendanta, aby mu zdać relację, Kruszek dotrzymywał w poczekalni towarzystwa pani Annie, opowiadając jej cuda o założonej w Nowym Jorku i Londynie fabryce aeromobilów i nawzajem słuchając jej opowieści o przygodach z czasu oblężenia.

Szyby w oknach dźwięczały od huku pękających coraz bliżej pocisków. Grzmot kanonady wzrastał się z każdą chwilą; zdawało się, jakoby nieprzyjacieli wyęźzał wszystkie siły, aby zawładnąć nieszczęsnym miastem. Kruszek, który dopiero pierwszy raz słyszał taką kanonadę, był silnie wzruszony i zaniepokojony; pani Anna, osłuchawszy się przez tyle dni z grzmotem dział, spokojnie to przyjmowała.

— Ależ kule już na miasto padają! — mówił Kruszek. Te eksplozje są tak głośne, że chyba o kilka ulic od nas pociski pękają.

— Wczoraj kilka granatów padło w śródmieściu i wielkie wyrządziły zniszczenie — odpowiedział jeden z oficerów. Baterie rosyjskie i pruskie na wzgórzach bielańskich mogą nam całe miasto zasypać granatami i zrujnować. Wszystkie nasze wysiłki, aby pozycję

bielańską odzyskać, nie powiodły się. Gdybyście państwo wiedzieli, wiele tysięcy ofiar nas te walki tam kosztują. Tam każda piędź ziemi jest krwią przesiąknięta, tam istne piekło się rozwarło!

— Czy miasto będzie bombardowane? To byłaby straszna niehumanność, zsyłać zagładę na bezbronną ludność, na kobiety i dzieci...

— Dlatego będziemy musieli się poddać, mruknął oficer.

Gdy oficer wymawiał te słowa, Jan Silnicki wyszedł wzburzony z gabinetu komendanta twierdzy i zwrócił się do żony.

— Wyobraź sobie, komendant zaklina mnie, abym wziął czynny udział w działaniach wojennych i z aeromobilu zbombardował pozycje nieprzyjacielskie. Ja tego przecież uczynić nie mogę! Ja wojny nie prowadzę i nie do celów militarnych sporządziłem swój statek! Wydawałoby mi się, że spełniam rzemiosło kata, gdybym sam bezpieczny, z wysokości 2500 metrów rzucał pociski na żołnierzy.

— Sentymentalność słowiańska przemawia z ciebie — mruknął Kruszek. Ja ci radzę spełnić życzenie komendanta. Uratujesz tem może miasto przed zniszczeniem. A zważ, że sam nie będziesz bomb rzucał. Ty będziesz tylko statkiem kierował, bomby niech rzucają austriaccy artylerzyści...

— A ty Andziu co na to mówisz? — pytał Silnicki żony.

Nim pani Anna zdążyła odpowiedzieć, gmach ko-

mendy zatrzęsł się, szyby w oknach wyleciały, na zebranych w pokoju posypał się gruz z sufitu. Pocisk uderzył w dach kamienicy i eksplodował z ogłuszającym hukiem.

Komendant twierdzy i generałowie, zgromadzeni w przyległej sali na naradę, wyszli teraz do poczekalni i poczęli na Silnickiego w dalszym ciągu nalegać, aby udzielił pomocy.

— Jesteśmy prawie bezsilni wobec baterii na Biełanach! Nieprzyjaciół zajął taką pozycję, że go wyprzeć nie zdołamy, a zasypie nam miasto strzałami. Jeśli zaś Kraków upadnie, cała kampania, dla Rosji teraz niekorzystna, inny obrót wziąć może, bo armia oblężnicza odzyska swobodę działania i wróci do Królestwa, osłaniając Warszawę... Panie, pan możesz nie tylko uratować miasto, ale zadecydować o losie kampanii!

— Pani powinna skłonić męża do interwencji. Przecież tu chodzi o tysiące kobiet i dzieci, narażonych na okropną zgrozę bombardowania — mówił znów jeden z generałów do pani Anny.

— Spójrz pan na to, co się tu dzieje, a zrozumiesz, że teorye humanitaryzmu nie ostają się wobec twardej rzeczywistości. Siła decyduje w życiu państw!

— Opierając się teraz z sentymentalnych pobudek żądaniu komendanta, osiągniesz wręcz przeciwny skutek. Pomnożysz tylko grozę wojny, będziesz przyczyną śmierci nowych tysięcy ofiar i jeśli Austria wojnę

przegra, udaremnisz postęp, katastrofę ściągniesz na całą Europę...

Silnicki wahał się jeszcze, ale skoro i Anna radziła mu, aby spełnił życzenie komendanta, zgodził się. Oficerzy nalegali, bo każda stracona minuta zwiększała ogrom zniszczenia w mieście i utrudniała sytuację oblężonych...

— A więc jedziemy; statek jest gotowy do lotu.

— Wielu oficerów może pan zabrać na pokład? — spytał komendant.

— Tylko dwu i to pod warunkiem, że mój towarzysz Kruszek pozostanie w mieście.

— A wiele kilogramów materii wybuchowych może pan załadować?

— Najwyżej 300 do 400 kilogramów, ponieważ musimy wznieść się bardzo wysoko i płynąć z wielką chyżością.

Silnicki pożegnał się z żoną, zapewniając ją, że za dwie godziny powróci — i w towarzystwie dwu przydzielonych mu oficerów, kapitana i porucznika artylerii autemobilem popędził ku rogate mogińskiej do aeromobilu.

Pociski raz po raz eksplodowały nad południowo-zachodnią połacią miasta. Nad Półwsiem Zwierzyńskim unosiły się gęste kłęby dymu; od granatów wszczął się tam groźny pożar.

W kwadrans później aeromobil, sterowany pewną ręką Silnickiego, unosił się nad Bielaniem — w chwili, gdy piechota rosyjska otrzymała nakaz, aby szturmem

wzięła wzgórze Przegorzał i Sikornika, koło Kopca Kościuszki.

Dzień był jasny, acz mglisty; blade słońce potokami światła zalewało ziemię, nad którą unosiły się lekkie dymy z eksplozji pocisków. Rozsypane w tyralierce oddziały piechoty posuwały się wzdłuż wszystkich stoków, a baterie czyściły ogniem przed nimi drogę, zmiatając wszystko z powierzchni.

Nad temi bateriami unosił się teraz aeromobil, tworząc plamkę czarną na tle niebios.

Widziano go dobrze w szeregach nieprzyjacielskich i lęk straszny zdjął żołnierzy.

Z wysokości 2000 metrów z kabiny „Wolności” poczęły się sypać granaty i bomby na pozycje rosyjskich i pruskich baterij...

Działa jedne po drugich milkły, bo artylerzyści bądź zginęli, bądź uciekli w panicznym strachu przed pociskami skrzydlatego niedosiężnego wroga.

Równocześnie piechota austriacka, korzystając z tego, że ogień nieprzyjacielski osłabł znacznie, posuwała się naprzód, prowadząc ze sobą karabiny maszynowe. Baterie austriackie znowu usadowiły się na Kopcu Kościuszki i poczęły bombardować wzgórze bielańskie.

Po upływie godziny Rosyane i Prusacy zasypywani gradem pocisków, musieli opuścić wzgórze bielańskie. Cofali się w panice, bo widok aeromobilu, unoszącego się ciągle nad nimi, przejmował żołnierzy przesadną iście zabobonną trwogą. Wprawdzie zapas

amunicji, zabrany przez aeronautów, wyczerpał się i „Wolność“ musiała poprzestać na roli biernego widza zapasów wojennych, ale sam widok aeromobilu wystarczał do szerzenia trwogi wśród Rosyan. Popołudniu piechota austriacka nabrawszy nowej otuchy do walki, odzyskała i opanowała zrujnowany fort pod Bielanami...

Tak więc pierścień fortyfikacyj krakowskich zwał się znowu, wyłom uczyniony przez wyprawę balonu Zeppelina został naprawiony, armia oblężnicza po ciężkich stratach musiała cofnąć się na dawne pozycje.

Miasto odetchnęło.

Jakkolwiek niebezpieczeństwo jeszcze wcale nie minęło i ponowna groza oblężenia nadal ciążyła nad ludnością, zdawało się, jakby z przybyciem aeromobilu nowy duch wstąpił w mieszkańców miasta i w wojsko. Ludzie, przed kilku godzinami jeszcze zrozpaczeni, znużeni i na wskrós wyczerpani — stali się nagle pełnymi radośnej otuchy i siły, okazywali optymizm i awanturniczą przedsiębiorczość. Wieść o odzyskaniu fortu pod Bielanami, wieść tryumfu, proklamowana natychmiast plakatami w mieście i ogłoszona pułkom rozkazem dziennym, podziałała nietylko na umysły zbiedzonych mieszkańców, ale i na znękanе wojsko, jak mocny upajający trunk, który kazał zapomnieć o przeżytych dolegliwościach i rozplomienił wszystkie serca nadzieją i poczuciem siły. Krwawe okropności wojny poszły w niepamięć, grzmot armat stracił swą grozę, okrzyki radości zgłuszyły jęk ran-

nych... Nie było już mowy o poddaniu twierdzy, nikt nie wątpił teraz o skuteczności obrony i odparciu ataków.

Gdy Silnicki, wylądowawszy znowu koło mogilskiej rogatki, wracał do miasta, spiesząc się do żony, witany był jak zbawca. Przed mieszkaniem państwa Świerkowskich w ulicy Grodzkiej zgromadził się tłum, nie bacząc na surowy zakaz tworzenia zbiegowisk, i wznosił huczne okrzyki na cześć wynalazcy.

Ten, siedząc przy skromnym obiedzie, który głównie składał się z konserw, przyniesionych przez Kruszka z kosza prowiantowego aeromobilu, mówił do żony:

— Dziś wieczorem albo w nocy chciałbym wyjechać i zabrać cię z sobą. Będzie to prawdziwie nasza podróż poślubna...

Ale państwo Silniccy nie wyjechali. Ulegając usilnym prośbom komendanta twierdzy, Silnicki zdecydował się jeszcze przez kilka dni pozostać w mieście, i podjąć kilka wypraw w celu zrekognoskowania pozycji nieprzyjacielskich i przewiezienia wiadomości z teatru wojny na Morawie oraz w Królestwie Polskiem.

Na ponowne bombardowanie pociskami nieprzyjaciela Silnicki nie chciał się już zgodzić, ale mimo to Kruszek, który wynalazcy wraz z dwoma oficerami towarzyszył, zabrał w drogę kilka ekrazytowych »pigulek«, które rzucono w przelocie na obóz...

Najbliższem miastem, gdzie można było zasięgnąć wiadomości, był Rzeszów.

Silnicki dowiedział się tu o faktach, o których słysząc uczuł, jak silnie serce uderza mu w piersiach.

Jeden korpus austriacki ciągnął od Sandomierza z odsieczą ku Krakowowi, drugi zaś szedł na Warszawę, której zajęcia przez wojsko austriackie za kilka dni należało się spodziewać. Również za kilka dni można było oczekiwać bitwy pod murami Krakowa, której rezultat nie mógł być wątpliwy.

Oblężnicza armia rosyjska, wyczerpana trudami, znalazła się nagle w fatalnem położeniu, groziło jej bowiem odcięcie od Królestwa i zamknięcie drogi powrotnej. — Jeśli chciała uniknąć dostania się w dwa ognie, musiała niezwłocznie zaniechać oblężenia, iść ku Kielcom i tam między Kielcami a Sandomierzem stawić czoło austriackiemu korpusowi.

Druga wiadomość była niemal jeszcze ważniejsza, Oto w trzeciej bitwie, która stoczona została pod Wiedniem i która znowu pozostała nierozstrzygniętą, armia pruska tak ciężkich doznała strat, że o dalszem nacieraniu nie mogła myśleć. W tej sytuacji Anglia i Francya postanowiły postanowiły zapośredniczyć pokój między Austryą a Prusami i Rosyą. Prusy na rzecz Austrii miały, tak sobie życzyła Anglia, odstąpić część Śląska górnego.

Tydzień cały jeszcze przebywał Silnicki w Krakowie, względnie szybował aerobilem nad terenem wojny, zbierając wiadomości. W ciągu tego tygodnia Kraków przeżył najsilniejsze emocje. Armia

rosyjska na wieść o klęsce Prus odstąpiła od murów Krakowa.

Pod presją Anglii i Francyi, zwycięska Austria, która także na południu szybko uporała się z Serbią i Czarnogorą, zawarła z Prusami i Rosyą rozejm — a konferencya mocarstw miała się zebrać w Krakowie i ułożyć warunki pokoju.

Silnicki z żoną i nieodstępnym Kruszkim stali przed aeromobilem, gotowym do wzlotu.

Pani Anna żegnała się z rodziną Świerkowskich i z matką, która za nic w świecie nie chciała się zdecydować na podróż latawcem, lecz zamierzała pozostać w Krakowie, a gdy się czasy uspokoją, pojechać koleją do Warszawy.

Silnicki mówił do Stasia Świerkowskiego, który lada godzina oczekiwał rozkazu wymarszu swego pułku ku Warszawie:

— Pokój niedlugo nastanie i zrzucisz ten mundur z siebie i ukończysz gimnazyum. Przybywaj potem do mnie, do Ameryki. Tam się wykształcisz na tęgiego technika — a techników coraz więcej w kraju potrzebujemy. Do widzenia, drogi chłopcze, w najkrótszym czasie!

Zahuczały motory statku, zaszumiały koła, aeromobil wzniósł się w powietrze, i popłynął na zachód.

Silnicki mówił do swej żony, żegnającej kraj rodzinny:

— Wrócimy tu niebawem, ale już do innego kraju. Nastają inne czasy, w stosunkach Europy dokoną się przewrót. Prusy, ostoja reakcyi leżą złamane — a nam Polakom otwiera się nareszcie przyszłość promienna. Nareszcie możemy żyć i rozwijać się normalnem życiem europejskich narodów.

Dzień był mroźny, ale pogodny. Zimowe słońce srebrnym blaskiem zalewało przestwór lekko zamglony, przez który jak strzała mknął aeromobil. Już Kraków zginał z oczu naszych trojga podróżnych, Tatry, całe w śniegu, białą ścianą iskrzyły się daleko na widnokręgu.

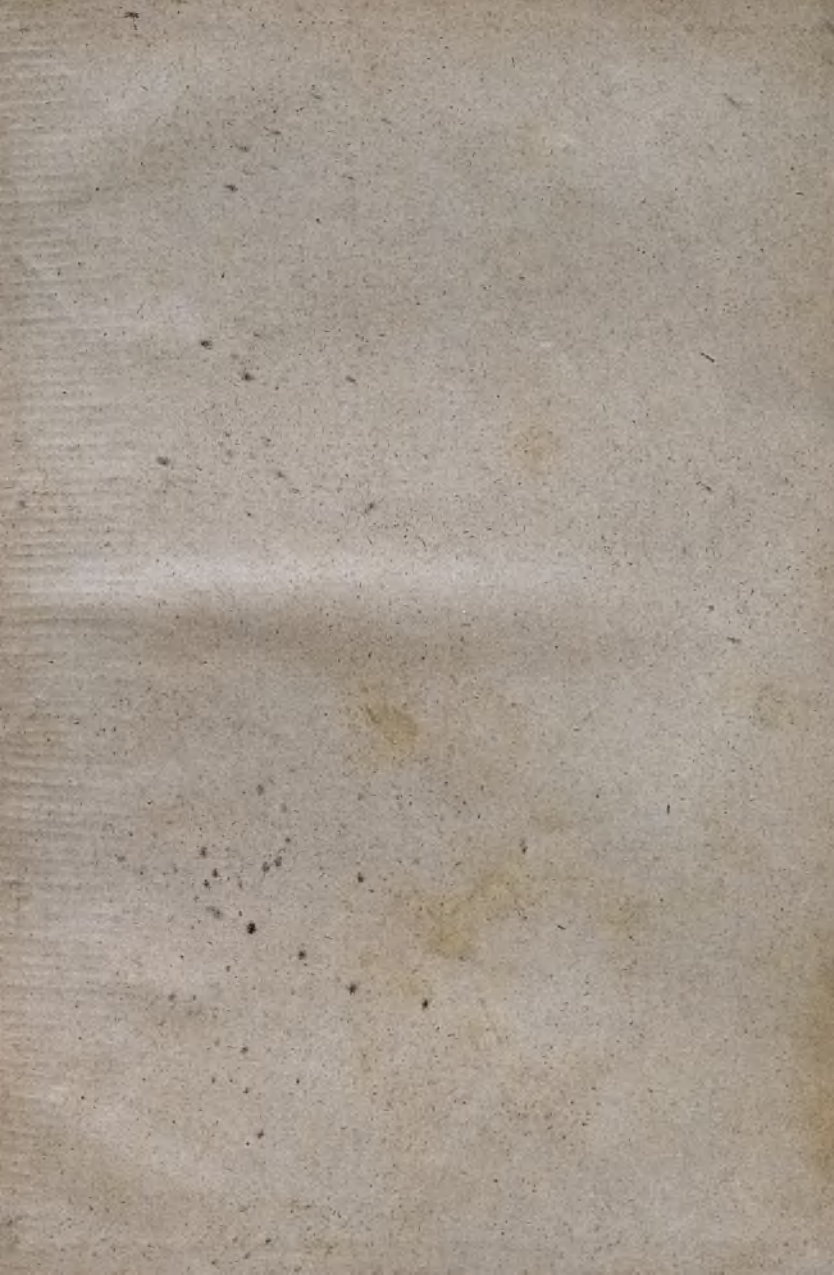
— Lecimy w przyszłość promienną, mówił Silnicki wesoło do żony, otulając ją futrem przed mroźnym wiatrem. Rozwój techniki awiatycznej zniesie granice, zdejmie z człowieka policyjno-militarne kajdany, zmieni nasze pojęcia o odległości, zbliży ludy i narody do siebie. Co znaczą granice, jeśli możemy z chyżością dwustu kilometrów na godzinę płynąć ponad ziemią? Nowa era zacznie się dla ludzkości; postęp, który dzięki wynalazkowi lokomotywy w siedmiomilowych kroczył butach, obecnie skrzydła sobie przypnie!

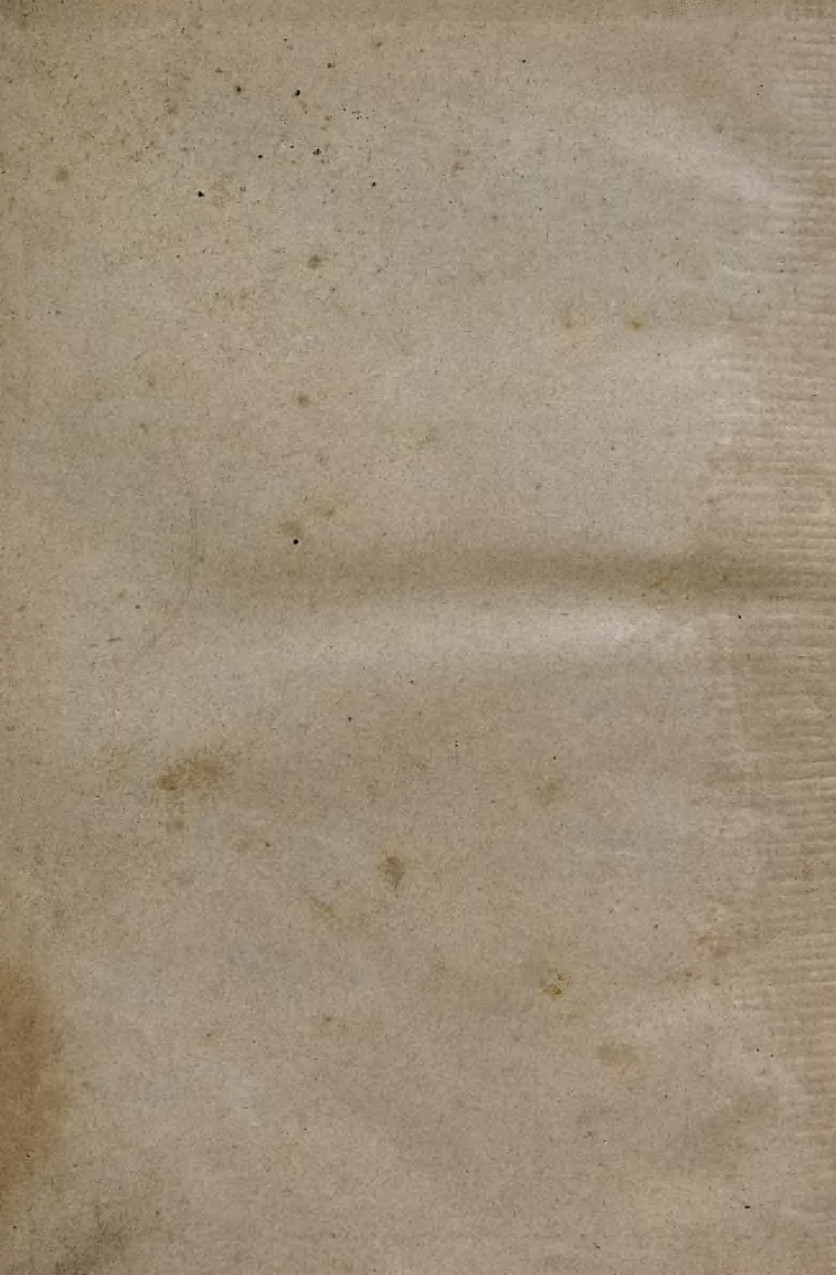
— Wszystko to pięknie — rzekł Kruszek — ale ja pomyślę o śniadaniu. Możecie się też pocałować, ja się na was nie patrzę.

I poczciwy Kruszek jął dobywać z kosza prowianty.

KONIEC.







10
Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000352199



I 319726



I 319726

„KRÓL PO

lekiej przy

go. Cena brosz. K. 3'—, w kart. K. 3'60.

„BALONEM DO BIEGUNA“ napisał
major Driant. Cena Kor. 2'40, w kar-
tonie Kor. 3'—.

„SIŁA WOLI I POWODZENIE“ Swett
Mardena. Cena Kor. 2.—.

„W NIERÓWNEJ WALCE“ powieść
Mimara na tle współczesnych zdarzeń
w Król. Polskiem. Wydanie drugie. Cena
Kor. 3'—.

„NA WULKANIE“ powieść Artura Gru-
szeckiego, na tle rozgłosnych wypadków
w Król. Polskiem. Wyd. drugie. Cena
Kor. 4'—.

„SYLWETKI KONI ORYENTAL-
NYCH“ przez Stefana Bojanowskiego,
z ilustracjami w tekście. Cena Kor. 6'—.

„KOLEJARZE“ powieść Artura Grusze-
ckiego. Cena Kor. 3'60.

